Nr. 171. Lwów — Środa dnia 29 Lipca. Rok 1903.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h
w Niemczech . . . . . 3 „ — „
w innych Państwach . . 4 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 40 „
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu
Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k.
Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h.
na prowincyi . . . . . 12 h
Numera z poprzednich dni po 20 h
Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.
Ceny ogłoszeń:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h
W drobnych ogłoszeniach:
tłustym petitem za każde słowo 4 h
tłustym garmondem „ „ 6 h.
koresp. prywatne „ „ 8 h.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 60 h.
Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.
Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: 29 śr. św. Marty P. — Atenogenesa
Jutro: 30 czw. św. Abdona i Senny — Maryny M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca o godz. 4 m. 37
Zachód „ „ 7 m. 33

Długość dnia godzin 14 minut 56
Ubyło dnia od wczoraj 3 min.

Memoryał krakowskiej izby handlowej.

Kwestyę pierwszorzędnej wagi dla kraju naszego porusza krakowska Izba handlowa i przemysłowa w memoryale, wręczonym niedawno przez osobną deputacyę członkom rządu i prezydyum Koła polskiego. Zwraca ona w tym memoryale uwagę na wysoce niewłaściwe praktyki, jakich do dziś dnia trzymają się władze centralne przy powierzaniu państwowych dostaw i robót w Galicyi, praktyki, krzywdzące nasz przemysł i rękodzieła i jakby obliczone na to, aby nie dać się rozwijać naszej produkcyi krajowej.

Przedewszystkiem podnosi Izba krakowska w swym memoryale, że zainicyowana przez rząd przed paru laty wielka akcya inwestycyjna w naszym kraju dotychczas prawie się jeszcze nie zaczęła i dlatego produkcya krajowa nie ma z niej żadnej korzyści, podczas gdy w innych krajach koronnych akcya ta już od dawna jest w toku. W Galicyi zaś nawet te zwykłe roboty, na które już w dawnych budżetach były wyznaczone kredyty, przewleka się pod różnymi pretekstami. Tak dzieje się np. z budową portu w Nadbrzeziu. Miano także rozszerzyć dworzec kolejowy w Płaszowie, lecz po rozpisaniu rozprawy ofertowej cała sprawa ugrzęzła. Podobnie przewlekają się: rozszerzenie stacyi w Suchej, inne inwestycye kolejowe, objęte programem z r. 1900, budowa drugiego mostu na Wiśle itd.

Do faktów, zasługujących na najsurowsze napiętnowanie, należy zastosowywany często przez władze rządowe proceder, że władza rozdawnicza rozpisuje konkurencyę, przedsiębiorcy męczą się nad planami i kosztorysami, ponoszą koszta na studya wstępne i wnoszą oferty, poczem dana władza, wyzyskawszy cały materyał studyów, zawarty w ofertach, nagle zawiadamia oferentów, że postanowiła wykonać roboty we własnym zarządzie. W ten sposób — jak to podnosi memoryał Izby krakowskiej — wyzyskuje się robotę prywatną, naraża się przedsiębiorców na daremną stratę czasu, pracy i pieniędzy, sprawia się im zawód, a równocześnie daje się dowód zupełnego zapoznawania ekonomiczno-politycznych zadań państwa. Bo choćby wykonanie robót we własnym zarządzie było istotnie tańsze, choćby nawet zapewniało robotnikom lepszą płacę (jak zwykle twierdzą w takich razach władze), to administracyi państwowej w Austryi, a szczególnie w Galicyi, nie wolno nigdy zapominać o tem, że im trudniejsze w danym kraju są warunki produkcyjne i im mniejsze szanse zbytu i zarobku, im większe przeszkody piętrzą się na drodze przedsiębiorczości prywatnej, im więcej potrzebuje ona sztucznej podniety i pomocy publicznej, tem mniej państwo przy zaspakajaniu swych znacznych potrzeb może [illegible] gospodarstwa prywatnego i myśleć o oszczędności, a choćby nawet o nadzwyczajnych postulatach socyalno-politycznych. W takich warunkach administracya państwowa wszelkiemi siłami i właśnie z okazyi zaspokojenia swych potrzeb winna się starać o otwarcie pola działania dla przedsiębiorczości prywatnej, a to w interesie podtrzymania i umocnienia całej produkcyi, a zatem całego gospodarstwa społecznego, od czego przecież w najwyższym stopniu znów zależy umocnienie finansowych podstaw administracyi państwowej. Zresztą rzadko roboty, wykonywane we własnym zarządzie, w ustroju biurokratycznym, mogą wypaść taniej; przeważnie zachodzi w tej mierze złudzenie, polegające na fałszywej i niedostatecznej kalkulacyi. A wynagrodzenie robotników? Płaca wyrobników jest jednaka, czy płaci ich państwo czy przedsiębiorca prywatny, robotników zaś ukwalifikowanych może sobie zapewnić w dostatecznej liczbie i jakości tylko przedsiębiorca prywatny, zatrudniający ich stale, dający im możność wyrobienia się, a płacący ich dobrze (bo ich niezbędnie potrzebuje), co znów jest niemożliwe dla władzy, wykonującej dane roboty tylko dorywczo. Izba krakowska przemawia tedy za tem, by w zasadzie roboty „we własnym zarządzie" były wykluczone, oraz, by w każdym razie, jeżeli rozpisano rozprawę ofertową, musiało nastąpić przyznanie roboty jednemu z oferentów.

Inne zażalenia Izby krakowskiej odnoszą się do różnych sztuczek, któremi władze centralne, nieprzychylne dla produkcyi galicyjskiej, uniemożliwiają jej pośrednio współzawodnictwo w dostawach dla państwa. I tak np. ministerstwo sprawiedliwości rozpisało dostawę sukna mundurowego dla okręgu lwowskiego, wyznaczając termin wykonania na 4—6 tygodni, w którym to terminie może wykonać robotę tylko dotychczasowy dostawca, przygotowany do produkcyi danego rodzaju. Ekonomat pocztowy w Wiedniu tak krótkie wyznacza terminy, ze konkurować mogą tylko dotychczasowi dostawcy i ich współzawodnicy z Wiednia lub okolicy. Nadto wzorów i próbek, choćby bezwartościowych, ekonomat dostarczać nie chce na prowincyę, wobec czego nasi producenci chcąc ubiegać się o jakąś dostawę, byliby chyba zmuszeni jeździć do Wiednia dla przypatrzenia się owym wyrobom, co byłoby połączone ze zbytnimi kosztami i ryzykiem. Najniebezpieczniejszy jest rozpowszechniający się, niestety, coraz bardziej system tzw. wzoru „normalnego". Władza poleca pewnemu producentowi sporządzić wzór artykułu, o którego dostawę chodzi, a inni oferenci muszą przedłożyć wzory takie same i podług nich wykonać dostawę — co stwarza dla owego producenta, który wykonał wzór normalny, z góry pozycyę o wiele korzystniejszą i otwiera szerokie pole protekcyi, oraz faktycznym monopolom.

Prócz niewłaściwych tego rodzaju praktyk, które pośrednio prowadzą do pomijania producentów galicyjskich w rozdawnictwie dostaw, zachodzą nieraz jaskrawe fakty bezpośredniego ich lekceważenia. I tak do konkursu na roboty mechaniczne przy budowie portu w Nadbrzeziu nie wezwano żadnej z firm krajowych, mimo że się o to starały. Na obrotnicę w Stryju nie rozpisano konkursu, lecz przysłano obrotnicę, wykonaną przez firmę Märkel i Bromovsky. Pompy domowe dla budników kazano dyrekcyom kolejowym w Galicyi nabywać u firmy Kunz w Weisskirchen. Dostawę maszyny parowej dla warsztatów kolejowych w Nowym Sączu wbrew wynikom rozprawy ofertowej przyznano firmie Märkel i Bromowsky. Zarząd domen państwowych, odstępując eksploatacyę części lasów skarbowych w Galicyi pewnemu przedsiębiorcy, postawił mu za pierwszy warunek, że tartak, który ma wybudować, będzie zamówiony u wiedeńskiej firmy. Konsole i haki dla telegrafów galicyjskich wyrabia się w Zöptau-Stephanau w Czechach, mimo, że w Oświęcimie istnieje fabryka, wyrabiająca te przedmioty, które zresztą w zakresie przemysłu domowego wytwarza się w Sułkowicach. Podobne stosunki zachodzą przy zakupnie gwoździ, śrub, cynku, siarczanu miedzi do użytku poczt i telegrafów, artykułów wytwarzanych fabrycznie w okręgu Izby krakowskiej.

Największe krzywdy galicyjskiej produkcyi wyrządza wiedeński ekonomat pocztowy, który zamawia poza granicami kraju i dostarcza dla galicyjskich urzędów pocztowych całe mnóstwo artykułów w Galicyi wyrabianych, nawet takich, jak zwykłe skrzynie drewniane, sznury, szpagat, czapki, suknie mundurowe dla woźnych, szczotki i t. d. Podgórska przędzalnia szpagatu dopiero w ostatnim roku zdołała uzyskać dla ekonomatu dostawę w wartości 6—8 tysięcy koron, co przedstawia zaledwie drobną cząstkę ogólnego zapotrzebowania, mimo, że ta sama przędzalnia dostarcza szpagatu dla poczt angielskich.

Równocześnie, gdy chodzi o dostawy po za granicami Galicyi, pomijanie produkcyi galicyjskiej jest regułą. I tak np. przy dostawie urządzenia dla stacyi wodnej w Amstetten i kompressora w Lincu, mimo, że oferta galicyjska była najniższa, roboty otrzymała firma wiedeńska.

Oto w streszczeniu memoryał krakowskiej Izby handlowej.

Nie wątpimy, że Koło polskie użyje całego swego wpływu, aby te krzywdzące kraj nasz stosunki zostały zmienione.

Sylwetki kardynałów.

Kardynał Dominik Svampa.

Święte Kolegium podlega tak samo prawu rozdrobnienia na stronnictwa, jak wszelkie wogóle zgromadzenia, obradujące i wybierające. Posiada więc skrajną prawicę, na czele której stoi kardynał Oreglia, oraz lewicę, złożoną z kardynałów, którym przypisują tendencye demokratyczne i którzy ściśle przestrzegają zasad, wypowiedzianych przez Leona XIII w jego encyklice o socyalizmie. Nie trzeba jednak przesadzać znaczenia tych różnic, trzeba nieustannie pamiętać o tem, że w wysokich sferach duchowieństwa pewne pojęcia nie mają tej samej wartości, co w kołach świeckich, że wreszcie poglądy, wyrażane przez kardynała, ulegają z konieczności zmianie po włożeniu tyary; papież musi stać ponad stronnictwami. Zapomnienie o tem wywołało niejaką pomyłkę w ocenie tego, czem miał być pontyfikat Leona XIII. Kardynał Joachim Pecci stykał się z politykami, należącymi do włoskich kół liberalnych, ze wspólnikami zajęcia Rzymu przez Włochy, utrzymywał stosunki z osobistościami, słynącemi jako sobowtóry Crispiego, wcielającego w sobie dążenia, których Pius IX padł ofiarą. To wystarczyło do przypuszczenia, że msgr. Pecci osobiście jest zwolennikiem porozumienia się z Kwirynałem. Grupa, na której czele stał biskup Perugii, zwana „perugijczykami," uchodziła za przednią straż stronnictwa, które marzyło o pojednaniu Watykanu z dynastyą zwycięską.

Wszyscy wiedzą, jak mało pontyfikat Leona XIII odpowiedział tym oczekiwaniom jednych, a obawom drugich. Zachował on przez cały czas postawę walki, przestrzeganą do ostatniego dnia rządów Piusa IX. Tak więc zmiany w poglądach są nieuniknione przy zmianie stanowiska. Pozornie niewielka przestrzeń dzieli kapelusz kardynalski od tyary, w istocie jest ona olbrzymia, chociażby ze względu na dogmat nieomylności, który się do kardynałów nie stosuje.

Z temi zastrzeżeniami można stwierdzić istnienie w św. Kolegium skrajnej lewicy, na czele której stoi kardynał Agliardi, potężny rzecznik demokracyi chrześcijańskiej. Należą do niej: arcybiskup Kapui, kard. Capecelatro, który, gdyby był wybrany, miałby zostać owym Papieżem pojednawczym, kard. Feliks Cavagnis i arcybiskup Bolonii, kard. Svampa, który uchodzi za najżarliwszego zwolennika idei demokratycznych, głoszonych przez Leona XIII, które nie są ani tak radykalne, ani tak rewolucyjne, za jakie chciano je uważać. Istotnie, w mniemaniu pewnych kół katolickich encyklika *Rerum novarum* uchodziła za rodzaj ewangelii społecznej, ogłoszonej w celu wykazania ścisłej łączności między doktryną chrześcijańską a teoryami kolektywizmu. Zawiera ona wprawdzie znakomite rady rozwagi, przezorności i dobroci na użytek bogatych, pieszczochów losu, ale z drugiej strony określa równocześnie ścisłą granicę, której prawdziwi katolicy przekroczyć nie mogą pod grozą herezyi i odstępstwa. Leon XIII podkreślił zresztą sam znaczenie swej encykliki: kiedy duchowni amerykańscy chcieli posunąć zbyt daleko interpretacyę poleceń papieskich, potępienie nie dało długo na siebie czekać. A kiedy niedawno w samych Włoszech ks. Murri, zachęcany przez kard. Agliardi'ego, zamierzał wprowadzić demokracyę chrześcijańską w stosunki z socyalizmem rewolucyjnym, Leon XIII zatrzymał go w pół drogi i zmusił do przerwania rozpoczętych prac w tym kierunku.

Kard. Dominik Svampa, jeden z najpoważniejszych kandydatów do tyary, należy więc do skrajnej lewicy; jest dziś w sile wieku, bardzo młody, jako kardynał, i nieco za młody może na Papieża. Wzgląd ten nie będzie bez znaczenia po dwu pontyfikatach, które wypełniły razem więcej niż pół wieku. Urodził się w 1851 r. w Montegranaro, małej wsi w archidyecezyi Fermo. Doszedł do najwyższych godności hierarchii duchownej, nie przechodząc ani przez stopnie karyery dyplomatycznej, ani też za pośrednictwem zakonów. Był kolejno wikaryuszem, proboszczem, kanonikiem tytularnym w Fermo. Jego prawość, wykształcenie i talenty zjednały mu szeroką sympatyę i podziw, sprowadziły go wreszcie do Rzymu, gdzie był dyrektorem duchownym seminaryum propagandy i profesorem seminaryum rzymskiego. Leon XIII nadał mu godność biskupią w r. 1887, jako nominatowi dyecezyi Forli. Stał się tam wkrótce niezmiernie popularnym, co jest faktem wyjątkowym. Mieszkańcy Marchii i Romanii są zdawna słynni ze swego ducha antikatolickiego i buntowniczego. Prowincye te stanowiły zawsze podatny grunt do propagandy karbonaryzmu i wolnomularstwa. W ostatnich czasach socyalizm zapuścił tam głębokie korzenie, zdobywając z łatwością zarówno robotników i rzemieślników, jak drobnomieszczan i lud wiejski. Wszyscy oni wyznają teorye przewrotowe i są jak najbardziej wrogo nastrojeni względem Kościoła.

Pomimo to mgr. Svampa był bardzo kochany w swojej dyecezyi. Jeżeli głównemi przyczynami tego była jego dobroć i miłosierdzie, to jednak niemało przyczyniły mu popularności przymioty fizyczne, któremi natura uposażyła go bogato. W tym kraju, w którym piękność jest jakby symbolem wyższości, ceniono w biskupie jego wdzięk i łatwość obcowania. Dziś jeszcze, mówiąc o swym dawnym biskupie, ludność wykrzykuje: „Co za piękny człowiek! Co za zacne serce!"

Oto opowiadanie o pobycie biskupa, słyszane z ust miejscowego szachcica: „Przybycie msgra Svampy stanowiło rewolucyę w stosunkach ludności do biskupstwa. Jego poprzednik był świętym człowiekiem, ale posiadał umysł nieco ciasny i zbyt wiele przywiązywał wagi do form zewnętrznych. Nowy biskup pośpieszył znieść nieco śmieszną etykietę, która dotąd panowała w pałacu. Widywano go codziennie, spacerującego po mieście, jak zwykły śmiertelnik. Rzemieślnicy ubóstwiali go: wszyscy go kochali. Kiedy wybuchło bezrobocie, jego wybierano na arbitra i rozjemcę. Uspakajał spory rodzinne, godził zwaśnionych, a wszyscy byli zadowoleni z tego wymiaru sprawiedliwości, słodkiego, łagodnego i nie kosztownego. Kiedy w r. 1893 msgr. Svampa został powołany na stanowisko arcybiskupa Bolonii, uważano ten fakt za klęskę publiczną. Cała ludność, bez różnicy klas i stronnictw, urządziła mu jednomyślnie owacyę, wyrażając mu swój żal serdeczny i składając najświetniejsze dowody miłości i wdzięczności. Nawet miejscowy dziennik socyalistyczny nie chciał psuć ogólnej harmonii i wołał: „oto odchodzi od nas jeden z najlepszych!"

W Bolonii msgr. Svampa przygotowywał się niejako do przyszłych zaszczytów, których miał prawo się spodziewać. W r. 1894 otrzymał purpurę kardynalską, a parę wyróżniających łask, jakie okazał mu Leon XIII, zwróciły zaraz na niego oczy innych kardynałów. Zauważono zaraz, że posiada w herbie płonącą pochodnię, a nazwisko jego znaczy po włosku „płomień", że więc może być owym *ignis ardens* z proroctwa. Po zatem kardynał Svampa, zarówno jak kardynał Oreglia i Sarto, arcybiskup Wenecyi, posiada tę przewagę, że trzymany był zawsze zdala od Kuryi, brak mu zatem zarówno niebezpiecznych przyjaciół, jak wrogów osobistych. Ale niektórzy kardynałowie twierdzą, że owo oddalenie było zbyt zupełne, że kardynał Svampa posiada tylko bardzo powierzchowną i bardzo niedostateczną znajomość spraw zarządu Kościołem i układów dyplomatycznych.

Pewien kardynał, który wkrótce zostanie prefektem jednej z najważniejszych kongregacyj i który odegra wybitną rolę w konklawe, mówił do autora tych notatek: „Nie możemy wybrać Papieża, który nigdy nie ocierał się o dyplomacyę i który nie ma pojęcia o sztuce rządzenia. Znalazłby się odrazu bezbronnym w walce z dziewięcioma mocarstwami, wprawnemi we wszystkie sztuczki przebiegłości i wyrafinowania dyplomatyczne".

Względy te mają w Rzymie wielką wagę. Ale kard. Svampa robią jeszcze jeden zarzut. Uchodzi on za człowieka wrogiego wszelkiej walce i przeciwnie skłonnego do zakończenia zatargu między dwiema władzami, innemi słowy do ułatwienia pojednania między Watykanem i Kwirynałem i zapomnienia o stanie rzeczy, stworzonym przez prawo o rękojmiach.

---

1)

Feljeton literacki.

Ignacy Dąbrowski. *„Chwila była przedwieczorna"* (Wrażenia). Warszawa. Nakład Jana Fiszera. 1903.

Wspaniałe wydanie, prześliczna okładka, druk staroświecki i kilka subtelnych, misternie wycieniowanych wrażeń, odniesionych przez autora „Śmierci" i „Felki" podczas podróży po Włoszech, jakoteż nowella p. t. „Czekam cię" — oto treść tej książki. Nowella „Czekam cię" jest to studyum nad starym kawalerem dr. Janockim, który zajęty nauką z jednej strony a praktyką z drugiej, przeszedł przez życie zapomniawszy zupełnie o tem, że są kobiety, że są one kwiatem i rozkoszą ziemi i że prawdziwa rozkosz nie jest ani w bogactwach, ani w zaszczytach, ani w nauce, ani nawet w spełnianiu obowiązku — lecz tylko w kobiecie.

W jakimś zakładzie hidropatycznym spostrzega doktor Janocki młodą dystyngowaną panienkę z dobrej rodziny i rozpoczyna nie konkury, ale oswajanie swego umysłu z tą pełną wdzięku i uroku młodą istotą, gdy przypadkowo dowiaduje się, że ten ideał jego jest zakochany już w jakimś paniczu z arystokratycznego domu, człowieku bez wartości, karciarzu i lamparcie. Zrażony tem odkryciem cofa się doktor Janocki i zwracając swe uczucia ku idealnej kobiecie woła do niej. „Czekam cię!"

Wrażenia z Włoch są ujęte w kilka prześlicznych obrazów narysowanych ręką mistrza. Każdy z nas czytał co najmniej kilka lub kilkanaście razy opis podróży na Wezuwiusz(a jednak w całej naszej literaturze niema z pewnością tak przecudnie pięknego, tak plastycznego opisu podróży na tę wulkaniczną górę, jak w tej oto książce. Przytoczymy tu część tego opisu, a niezawodnie przywtórzą nam czytelnicy naszego pisma. Autor opowiada:

„Wypieczeni przez upał przy zwiedzaniu ruin Pompei, wsiedliśmy — ja i towarzysz mój — do powozu, który miał nas podwieść do Bosco Trecase, ostatniej osady na górze, na południowem zboczu Wezuwiusza. Dwa kilometry drogi od Pompei do Torre Annunziata, przez które mieliśmy przejeżdżać, idzie zupełnie równo. Na lewo mamy bajecznie urodzajną płaszczyznę doliny Sarno, za nią morze, a jeszcze dalej, już pokryte przez siń powietrzną, góry Sorrento i Capri; na prawo łagodny stok Wezuwiusza, zielony jeszcze i usiany osadami, a dalej i wyżej sam wulkan — wysoki, czarniawy i nagi.

Jest południe i słońce zalewa wszystko oślepiającym blaskiem. Jedziemy szybko po drodze białej jak kreda, mijając maleńkie wioski włoskie, winnice, kawałki pól lub oddzielnie stojące budynki.

Widoki najbliższe zupełnie egzotyczne. To kukurydza bije ku słońcu mnóstwem fontann zielono-złotych, to szare oliwki, przepieczone żarem, jakby usychają z pragnienia, to gdzieniegdzie mignie cytryna, pałająca owocami. Całe gaje wysokich winorośli, z porozpinanemi w górze na płask koronami, tworzą labirynty altan o żywym dachu z góry, przez zielone liście przecedza się złote słońce i drga na ciemnem podłożu. Gorąco. Mnóstwo motyli żółtych i białych ugania się w powietrzu, które zdaje się migotać z upału. Domy z płaskimi dachami, najczęściej zupełnie bez okien, stoją przy białej drodze jak wielkie, kamienne sześciany, olśniewające białością spotęgowaną jeszcze przez czarne otwory drzwi. Czuje się przez grube mury, że musi być w nich mroczno i chłodno. Przy domach palmy pióropuszami swych wierzchołków rzucają cień na białe ściany, na mirty, na róże, na laury i bluszcze.

Przypominają się illustracye biblijne Doré'go: Rebeka z wysokim dzbankiem przy białej studni, ucieczka do Egiptu na mule z palmą przydrożną, kamienne budowle Jeruzalem i mnóstwo, mnóstwo widoków, oświetleń, zarysów, których się w rzeczywistości nigdy nie widziało, a które jednak tak żywo malowaliśmy sobie w wyobraźni!

I w tem to właśnie tkwi cały czar poznawania nowych krain. Nic nie jest dla nas zupełnie nowem. Myśmy wszędzie byli, wszystkośmy widzieli oczami marzenia i tęsknotą wrażeń, więc później każdy nowy widok jest dla nas tylko jakby przypomnieniem dawnego snu. A im on był dawniejszym, im bardziej posuniętym w te czasy stałej szczęśliwości lat dziecięcych, tem większy urok, niemal zapach takiego momentu. Bo taka tylko bagatelka: — poczuć się na chwilę — dzieckiem,

Koła powozu zaturkotały głośniej po bruku i wjechaliśmy do Torre Annunziata. Małe włoskie miasteczko, zbudowane na popiele i lawie, tuż nad zatoką, ufne w Opatrzność Bożą, że je ocali od żarłoczności wulkanu. Lawa bowiem w czasie większych wybuchów tędy czasem spływa do morza a bywa jej sporo, jeżeli woda w zatoce gotuje się wówczas jak w samowarze. Co lat kilkanaście gruba warstwa popiołu i kamieni pokrywa domy i ulice a raz nawet, ale to już dawno temu, pokryła tak dobrze, że już nie było co odkopywać.

Ale miasta, jak już wspomniałem, strzeże Opatrzność Boża, a jeszcze więcej Madonna del Carmine, której obrazy widzi się tu niemal na każdym domu, przystrojone żyrandolami lub lampionami. To też mieszkańcy, ufni w Jej opiekę, żyją tu sobie wcale wesoło, fabrykując słynne na całe Włochy makarony, które rozwieszają na sznurach po ulicach i placach nie tylko zupełnie jak bieliznę, ale nawet razem z bielizną.

Na szczęście przy śniadaniu w Pompei nie jedliśmy tego dnia makaronu.

Za miasteczkiem droga zaczyna się łagodnie podnosić w górę. Jedziemy wprost na wulkan, który nam się ciągle chowa za plecami woźnicy i siedzącego obok niego przewodnika; morze mamy za sobą. Droga typowa włoska: wązka bardzo szosa pomiędzy kilkołokciowej wysokości szarymi murami, z za których przechylają się ku nam to palmy, to wielkie agawy, to osypane czerwonym kwiatem oleandry, przesycające powietrze zapachem, po załamach i szparach pnie się bluszcz i wiesza się girlandami do samej ziemi. Ogromnie tu cicho. Ludzi nie widać prawie wcale. Czasem tylko wyminie nas wieśniak, wracający z winnicy na mule, albo zdala, na tle popękanego muru z wieńcami caprifolium, mignie nam sylwetka wiejskiej dziewczyny z jedną ręką pod bokiem a drugą przy koszu na głowie.

I znowu przypominają się nam ryciny, krajobrazy, widoki przedstawiające takie same właśnie zakątki dróg i takie same dziewczyny, i znowu — wspomnienie już zupełnie świeże — przypomina mi się rzymska Via Appia, równie jak ta wązka, zaciszna, bezludna i chociaż zalana słońcem, równie jak ta — trochę smutna.

Lecz droga staje się coraz bardziej stromą i zaczyna się wić to w prawo, to w lewo, łagodząc łukami ostrość spadku. Szeregi murów po obu stronach przerywają się coraz częściej, pozwalając wzrokowi zapuścić się trochę dalej. Same winnice. Dostarczają one słynnego na całe Włochy i na cały świat wina Lacrima Christi. Zakładają je tu na gruncie powstałym ze zwietrzałego popiołu wulkanu. Z szarawo-czarnego podłoża, tak suchego, jak może być tylko popiół, wspinają się ku górze, jak węże, łodygi winorośli, czarne, pokręcone, gołe, wprost brzydkie; żadnej trawki, żadnego chwastu pomiędzy tymi patykami: czarniawy popiół, czarne łodygi i gdzieniegdzie jeszcze czarniejszy żużel, ot i wszystko. Nawet słońce nie rade tu zaglądać, zlewając cały swój blask i żar na zieloną oponę górnych gałęzi, przybranych gronami.

Lecz oto koła znowu turkoczą po bruku i po godzinie blisko jazdy od Pompei, wjeżdżamy do Bosco Trecase. Jest to kres naszej podróży powozem; dalej mamy jechać konno.

Z oberży, przed którą stajemy, wychodzi jej właściciel, gruby jak beczka Włoch i zaprasza nas do środka. Przewodnik nasz bez ceremonii klepie go po wydętym brzuchu, zapewniając, że doszedł do tej tuszy tylko dzięki Lacrima Christi. Wchodzimy do środka. Na ścianach wiszą rzędem obok siebie portrety Humberta, królowej Małgorzaty, Leona XIII i Garibaldiego. Na stole jakaś zielona serweta, w oknach doniczki z kwiatami i — rzecz we Włoszech tak rzadka, jak śnieg w Neapolu — jest tu czysto.

Kilka korków strzela z wielkim hukiem. Nareszcie! Pijemy Lacrima Christi, prawdziwe, najprawdziwsze, tu w jego ojczyźnie, na Wezuwiuszu! Sporo rozczarowania. Przypuszczam, że taki sam smak miałoby sfermentowane s ampańskie. Pijemy jednak dużo, żeby starczyło aż do powrotu. Resztę wypija sam oberżysta i przewodnik, nieodmiennie powtarzając przy każdym kieliszku.

— A votre santé, à la santé de votre femme et à la santé de toute votre famille.

Co tam! niech pije i za zdrowie tej żony, której na szczęście jeszcze nie posiadam.

Płacić? — Nie, nie potrzeba, to za powrotem.

Podprowadzają nam konie.

Próżno siliłbym się na opis tych rumaków; zresztą same imiona starczą za cały opis: mój pegaz nazywa się Beetsteak, mego towarzysza — Macaroni. Siadamy i ruszamy. Przewodnik nasz idzie przy koniach, trzymając jednego z nich za tręzlę.

Na pierwszym zakręcie, jak z pod ziemi, zjawia się młody chłopak, nie pytając, chwyta drugiego konia też za tręzle i także idzie. Protestujemy — nic nie pomaga; nawet nie odpowiada, tylko idzie sobie spokojnie. Co tam, niech idzie. Z naszym przewodnikiem to już dwóch.

Mijamy ostatnie białe domki Bosco-Trecase i wogóle ostatnie już na naszej drodze i wydostajemy się na szerszą przestrzeń.

Jesteśmy już na znacznej wysokości. Klasztor Kamedułów della Torre, położony na dość wysokim wzgórzu u stóp Wezuwiusza, który nam imponował swą wyniosłością teraz został się gdzieś daleko w dole, prezentując swoje dachy. Próżno oglądamy się za morzem: nie widać go wcale. Przewodnik jednak z tajemniczą miną obiecuje nam wspaniały widok z pewnego punktu, położonego znacznie wyżej i radzi nam nawet, żebyśmy, póki nam nie da znaku, nie oglądali się wcale po za siebie; w ten sposób cały widok odsłoni nam się odrazu.

Tem łatwiej jest nam zastosować się do tej rady, że uwagę naszą zaczyna coraz bardziej przykuwać sam wulkan.

Kształt jego jest niezmiernie prosty. Jeżeli nań patrzeć zupełnie z dołu z Neapolu, Pompei lub Caserty, przedstawia się on tak: pośród zupełnej równiny Campagnii Felice, obrzeżonej z trzech stron górami Apeninów, a z

W sądach tych jest oczywiście dużo przesady. Przyszły Papież, ktokolwiek nim będzie, pomijając niektóre odcienia słabsze lub mocniejsze w pewnych kwestyach, nie będzie robił ani mniej, ani więcej niż jego poprzednik, bo takim jest duch panujący obecnie i przeważający w św. Kollegium. Ale sądy te to są doskonałe narzędzia walki.

Podobno kardynał Svampa ma wiele sympatyi pomiędzy kardynałami nie Włochami, ale na to liczyć trudno. Głównymi kierownikami wyboru będą: kardynał Vives y Tuto, Hiszpan i kardynał Steinhuber, Niemiec. Pierwszy bardzo daleki jest od idei demokratycznych, a drugi będzie wraz z kardynałem Koppem głównem narzędziem Niemiec w konklawe.

Kardynał Svampa uważa, że posiada duszę dość silną i sumienie dość czyste, aby unieść na swoich barkach ciężar pontyfikatu. Ale gdyby jego kandydatura upadła, nie byłby ostatnim w wyrażeniu radości z tego powodu, gdyby wybór padł na duchownego, równie jak on zdolnego do podniesienia powagi i wpływu papieztwa.

Po zgonie Papieża.

(Telegram Przeglądu).

Rzym 28 lipca. Donoszą tu, że Kolegium kardynalskie wystosowało notę do mocarstw, w której oświadcza, iż zgodnie ze stanowiskiem zajętem przez św. Kolegium po śmierci Piusa IX, protestuje ono i teraz przeciw obecnemu stanowi rzeczy co do państwa kościelnego i świeckiej władzy Papieża.

Wczoraj przed południem wylosowano apartamenta dla kardynałów na konklawe. W nowej kaplicy przygotowano apartamenta dla tych kardynałów, którzyby podczas konklawe zachorowali.

Rzym 28 lipca. We wczorajszej kongregacyi wzięło udział 52 kardynałów. Ze względu na wielkie upały kilku kardynałów zaproponowało, aby wstępne czynności do konklawe odbyły się wcześnie w kaplicy sykstyńskiej, tak, aby już o godzinie 11 można było przystąpić do wyboru. Celem zapewnienia swobody udzielono x. Chigi jak najszerszego pełnomocnictwa i oddano pod jego komendę wszystkie straże watykańskie.

Paryż 28 lipca. Ajencya Havasa donosi, że prezydent ministrów Combes nie weźmie udziału w dzisiejszem żałobnem nabożeństwie za Papieża w kościele Notre Dame.

Belgrad 28 lipca. Wczoraj przed południem, w kaplicy austro-węgierskiego poselstwa, t. j. w jedynym kościele katolickim Belgradu, odbyło się nabożeństwo żałobne za Papieża. Wzięli w niem udział także członkowie innych poselstw, należący do wyznania katolickiego, między nimi członkowie poselstwa włoskiego.

Santiago de Chili 28 lipca. Większość członków tutejszego ciała dyplomatycznego zaprotestowała przeciw znanej mowie, wygłoszonej w jednym z kościołów tutejszych, z okazyi śmierci papieża, a skierowanej przeciw Włochom i przeciw zaborowi państwa kościelnego. Rząd tutejszy w oficyalnej prasie wyraża ubolewanie z powodu całego zajścia.

Nowe szczegóły o mordzie belgradzkim.

Wobec oszczerczego listu serbskiego prezydenta ministrów, Władana Georgiewicza o zamordowanym królu Aleksandrze, listu, oskarżającego nieszczęśliwego niedołęgę serbskiego na tronie o najohydniejsze zbrodnie (np. że chciał zamordować swoją matkę i t. p.), na czasie będzie przytoczyć rewelacye korespondenta francuskiego *Gil Blasa* p. de Prevignaud, który badając z niezmierną energią i sprytem sprawę mordu belgradzkiego na miejscu, odkrył przerażające szczegóły strasznej dla Serbii królobójczej nocy.

Wiadomości te opowiedział p. Prévignaud korespondentowi jednego z pism niemieckich.

P. de Prévignaud — pisze niemiecki korespondent — jest to człowiek lat 35, sympatycznej powierzchowności i ujmującego obejścia. Widać w nim energię żelazną.

„Jechałem do Belgradu jako sprawozdawca dziennika — mówił p. de Prévignaud — ale rola moja w stolicy Serbii zmieniała się z dnia na dzień w rolę sędziego śledczego. Śledztwo to trwało dni dwadzieścia, a w czasie jego wykryłem rzeczy, od których włosy powstają na głowie. Naprzykład taki drobiazg: Jeden z morderców, porucznik X., którego nazwiska wstydzę się wymienić, pobiegł po wrzuceniu zwłok pary królewskiej do ogrodu i zdarł z palca królowej pierścionek, który następnie sprzedał jubilerowi w Belgradzie. Znam dokładnie sumę, którą za ten pierścień otrzymał, jak również nazwisko jubilera, który wiedział o pochodzeniu klejnotu. I cóż powiedzieć o oficerach, którzy obdzierają trupy?

Najstraszniejszą rzecz dowiedziałem się o pułkowniku Maszynie, bracie męża królowej, naczelniku spisku. Pokazało się, że nie mścił się on bynajmniej, jak mówił, na królowej za śmierć swego brata (Maszyn rozsiewał pogłoskę, że Draga otruła swego pierwszego męża, — ale poprostu za to, że Draga nie chciała zostać jego kochanką z chwilą, kiedy została wdową po jego bracie".

Najciekawsze jest to, co mówił p. Prevignaud o bohaterskim pułkowniku Nikolicu:

„Pułkownik Nikolic, komendant garnizonu w Vanicy, znanym był ze swego przywiązania do króla Aleksandra. Nikolic mieszkał w Belgradzie. W noc królobójczą, podczas gdy wojska spiskowych oblegały konak, trzydziestu ludzi pod komendą kapitana Ljuby Milica podeszło pod dom Nikolica, który przeczuwając niebezpieczeństwo, uciekł przez okno do ogrodu i pobiegł do koszar 18 regimentu sądząc, że zdoła przeciągnąć go na swoją stronę. Ale przed koszarami stał pułk spiskowych, pilnując wiernych Aleksandrowi. Wtedy dzielny pułkownik co tchu pobiegł do odległej o siedm kilometrów Vanicy sądząc, że zdoła zapomocą swojego oddziału uratować króla.

„Tymczasem Milic wywalił drzwi do mieszkania Nikolica i przetrząsnąwszy mieszkanie, domyślił się, dokąd uciekł pułkownik i natychmiast zatelefonował do pułku z wiadomością, że król już zabity — co było nieprawdą, gdyż jeszcze Aleksandra nie odnaleziono w labiryncie pokojów konaku.

„Nikolic odpowiedział przez telefon obelgą.

„Wtedy Milica na radzie wojennej w konaku wysłano, aby za wszelką cenę pozbył się Nikolica.

„Milic wziął ze sobą pułkowników Gagowica i Petrowica i pojechał do Vanicy.

„Tam rozegrała się następująca scena:

„O sto kroków przed obozem Nikolic czekał na swoich oprawców.

„Powóz z trzema oficerami zatrzymał się. Milic z rewolwerem w dłoni podszedł do Nikolica i rzekł:

„Panie pułkowniku, daję słowo honoru, że widziałem trupa króla Aleksandra.

„Pomiędzy tymi dwoma oficerami wszczyna się ostra wymiana pogróżek i obelg.

„Tymczasem Petrovic woła: „Co? Milic nie zabija go? To zdrada" i strzela do Nikolica, ale chybia.

„Nikolic odpowiada strzałem, który kładzie Petrovica na miejscu. Milic przerażony ucieka.

„Pozostaje dwóch przeciwników: Gagovic i Nikolic. Nikolic schyla się nad leżącym Petrovicem, chcąc zobaczyć skutek swego strzału. Wtedy Gagovic rani go ciężko. I oto zaczyna się straszliwy pojedynek. Nikolic zrywa się i kładzie na miejscu Gagovica. Potem strzela jeszcze raz do Petrovica, potem znowu do Gagovica i jeszcze raz do Petrovica.

„Wiadomo co było potem. Gagovic i Petrovic umarli z ran otrzymanych w szpitalu.

„Nikolic, bohater i ofiara w tej tragedyi, wyleczył się, ale odebrano mu rangę oficerską".

P. de Prévignaud wie o tych szczegółach od rannych Gagovica i Petrovica, jak również od Nikolica.

Wreszcie co się tyczy 20 poddanych austryackich, których zamordowano w konaku, p. de Prevignaud opowiada, że starano się go oszukać, przedstawiając mu jakichś dwudziestu ludzi, jako poddanych austryackich, żyjących w najlepszem zdrowiu do dziś dnia w konaku i tylko jedna z osób, stojących blisko króla Piotra, wywiodła go z błędu.

Tak się przedstawia w świetle prawdy rewolucya serbska i jej ohydy.

Z naszych uzdrowisk.

Z Kosowa na Pokuciu.

Czy wielu jest takich, którzy słyszeli o Kosowie w Galicyi wschodniej, na uroczem Pokuciu wśród Hucułów. Książki doktora Lahmana coraz to więcej rozpowszechniają się i u nas coraz to więcej przynoszą pożytku, ludzie jeżdżą do Weisser Hirsch pod Drezdnem, a nie wiedzą, że w zakładzie doktora Tarnawskiego w Kosowie równy zapas zdrowia i mądrych wskazówek na przyszłość wywiozą, co z zakładu Lahmana. Bawię tutaj trzeci tydzień, miałem więc czas i możność przekonania się o tem na sobie. „Lecznica fizykalno-dyetetyczna" jest urządzona wzorowo; panuje tu ład i porządek, jakby... nie w polskiem zdrojowisku. Opieka lekarska umiejętna i sumienna, rygor wzorowy, służba kąpielowa wyćwiczona doskonale, służba pokojowa niezwykle grzeczna, trzymana w karbach, nie wyciągająca ręki po napiwki, co jest rzeczą wręcz wyjątkową w Galicyi.

Zakład, oraz wille dla gości mieszczą się w obszernym ogrodzie warzywno-owocowym, leżącym na stokach Karpat wschodnich nad rzeką Rybnicą, w odległości kilometra od miasta powiatowego Kosowa. Statystyka wykazuje, że okolice Kosowa posiadają najwyższą w całej Galicyi temperaturę przeciętną, to też roślinność jest niezwykle bujna. Okolica — bliższa i dalsza — prześliczna, a więc i wycieczki są niezwykle urozmaicone: lasek, zwany Diłek, Czerhanówka, Kuty (miasteczko zamieszkane przez Ormian), za Kutami rzeka Czeremosz, za Czeremoszem Bukowina; Pistyń nad Pistynką, wodospad Rybnicy (Huk), Horod, Sokołówka itd., wreszcie wieś Żabie, unieśmiertelniona w literaturze przez Korzeniowskiego w „Karpackich Góralach".

Ale wróćmy do zakładu. Istnieje on od lat kilku, założony przez obecnego właściciela i kierownika, doktora Tarnawskiego. Przyjeżdżają tu przeważnie chorzy nerwowo, wyczerpani pracą umysłową itd. Leczenie polega nietylko na najrozmaitszych zabiegach wodnych, ale nadewszystko na życiu hygienicznem: sypianie przy otwartych oknach, wstawanie o wpół do 6tej, gimnastyka na świeżem powietrzu (w kostyumach bardzo lekkich, albo nawet adamowych), bieganie boso po rosie, gry i ćwiczenia fizyczne, a nadto kuchnia dyetetyczna, przeważnie jarska, ale wyborna w całem znaczeniu tego wyrazu — oto są główne środki, które pod umiejętnem kierownictwem lekarzy zakładowych (obok właściciela ordynują tu dr. Dębicka i dr. Bobrowski) przywracają chorym i zmęczonym zdrowie, krzepią zarówno ciało jak i duszę, oprócz tego uczą, że główną podstawą zdrowia jest hygiena. To też pomimo, że właściciel nie reklamuje swego zakładu, coraz to głośniej o nim w Galicyi, a i z innych ziem polskich coraz to częściej bawią tu goście. Jestem głęboko przekonany, że każdy z nich opuści Kosów nietylko z zapasem zdrowia i sił do pracy, i nietylko z zadowoleniem z wesoło, cicho, spokojnie spędzonego czasu, ale i z uczuciem szczerej wdzięczności względem dra Tarnawskiego, który założył pierwszy u nas tego typu zakład leczniczy.

KRONIKA.

Lwów 28 lipca.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór p. Włodzimierza Youngi, właściciela dóbr Hrusiatycze, na zastępcę prezesa Rady powiatowej w Przemyślu.

Wiadomości kościelne. Przeorem zakonu OO. Dominikanów we Lwowie został O. Bernard Krukierek, prowincyałem zaś O. Floryan Bielat.

Sejmik relacyjny. Jan Potoczek, poseł do Rady państwa, składał przed paru dniami w Grybowie sprawozdanie ze swoich czynności poselskich. Przedstawił on zgromadzonym wyborcom, czem się Rada państwa w ostatnich latach zajmowała, mówił o ugodzie z Węgrami, o ustawie święcenia niedzieli, ustawach podatkowych, regulacyi rzek i potoków i t. d. Po odpowiedzi na wypowiadane przez kilku wyborców żądania i skargi uchwalono posłowi Potoczkowi jednogłośnie wotum zaufania.

Sejmik ten nasuwa nam pewną refleksyę. Oto grupa ta ludzi, która miała zamiar pchnąć kraj na Koło polskie i na jego prezydyum, aby utorować drogę pewnemu samozwańczemu kandydatowi na prezydyalne krzesło w Kole polskiem, ogłosiła w swoich dziennikach, że po sejmiku relacyjnym p. Garapicha pójdzie teraz cały szereg sejmików relacyjnych, wyrażających wotum nieufności teraźniejszemu kierownictwu Koła polskiego. I oto odbył się sejmik relacyjny p. Potoczka, a żadnego wotum nieufności, ani żadnych impertynencyj skierowanych ku prezesowi p. Jaworskiemu nie uchwalono. Czekajmy więc co będzie się dalej działo z sejmikami relacyjnymi. Ważnem jest wszakże skonstatować fakt, że owe warcholskie żywioły nie mają wpływu na włościan naszych. Udało im się zaskoczyć okręg tarnopolski, gdzie na sejmik przyjechało podobno tylko czternaście osób, a w tej liczbie dwóch niewyborców i zdaje się, że na tem się skończy cała ich kampania przeciw p. Jaworskiemu i w ogóle przeciw całej dotychczasowej działalności Koła polskiego.

Odezwa do wytwórców i przemysłowców krajowych. W sprawie obesłania październikowej wystawy przemysłu krajowego w Brzeżanach, podajemy bliższe informacye.

Wystawa obejmuje w ogólności wszystkie gałęzie krajowego przemysłu z wykluczeniem przedmiotów ulegających rozkładowi i zepsuciu. Wystawienie przedmiotów zbyt znacznych rozmiarów i wagi wymaga osobnego porozumienia z komitetem.

Spisy przedmiotów wystawowych z podaniem cen nadsyłać należy do 1 września br., same przedmioty z oznaczeniem cen i z załączeniem dwóch kartonowych tablic z firmą wystawcy do 15 września b. r.

Komitet zastrzega sobie 30% ceny uzyskanej ze sprzedaży, nie licząc taksy za zajęte miejsce, którą uiścić należy tylko od przedmiotów na sprzedaż nieprzeznaczonych w stosunku czterech koron na 1 metr kwadratowy zajętej przestrzeni.

Komitet ponosi koszta transportu ze stacyi kolejowej Potutory do Brzeżan i napowrót, koszta asekuracyi ogniowej na czas trwania wystawy i odpowiada za całość towarów od chwili rozpakowania do zapakowania. Uprasza się o zawiadomienie, czy do rozpakowania i ustawiania przedmiotów wysłany zostanie osobny zastępca firmy.

W interesie wystawców i ogólno-krajowym leży wystawianie doborowych tylko towarów i podawanie jak najumiarkowańszych cen.

Za komitet: *Kazimierz Traczewski*, prezes Rady powiat, i poseł na Sejm kraj., *Dr. Stanisław Schaetzel* poseł na Sejm kraj., *Dr. Albert Zauderer* burmistrz miasta Brzeżany.

Jazda po pętlicy w zabójczem kole. W bawiącym we Lwowie cyrku braci Truzzich produkował się wczoraj po raz pierwszy mr. James Broms, sztukmistrz światowej sławy. Wykonuje on tylko jedną sztukę, ta jest jednak nadzwyczaj oryginalna i napręża ogromnie ciekawość i nerwy widzów.

Oto najprzód spuszczono z pod pułapu cyrku wielkie rusztowanie metalowe, złożono i ześrubowano poszczególne jego części tak, że w środku areny stanął wielki tor kształtu pętlicy. Pierwsza jego część sięga dachu cyrku; jest to pochyła płyta z blachy żelaznej, szeroka na 90 cm. nieco wewnątrz wyżłobiona, wygięta lekko ku dołowi pod kątem więcej niż 45° Bezpośrednio z nią łączy się druga część pętlicy; stanowi ją pas żelazny tak samo szeroki, wygięty jak obręcz spiralnie w ten sposób, że tworzy w środku niezupełne koło o średnicy 6 m. W kole tem wyżłobienie coraz bardziej znika, tak, że najwyższa jego część jest wewnątrz całkiem gładka i równa, poczem wyżłobienie znowu się zaczyna. Kolista obręcz w miarę tego, jak się wygina, skręca się w prawo, wybiegając dołem w zwykły poziomy tor, na końcu którego znajdują się materace. Ten tor to trzecia część pętlicy.

Zanim mr. Broms produkcyę swą rozpocznie, puszcza najpierw na próbę po pochyłości toru ciężką kulę, która na mocy siły odśrodkowej przebywa ogromnym pędem całe wnętrze pętlicy, stwierdzając w ten sposób, że wszystko jest dobrze umocowane i złożone. Potem wsiada mr. Broms do pojazdu, kształtu pierścienia lub raczej beczki z obu stron otwartej. W beczce tej, zrobionej z miedzi, znajdują się klamry, w które sztukmistrz wkłada swe ręce i nogi, przyciskając się równocześnie plecami do wnętrza beczki. Teraz rzuca się mr. Broms w dół po torze, dostaje się do wnętrza obręczy, jedzie wzwyż, przesuwa się po górnym obwodzie obręczy tak jakby siłą magnetyczną doń przyciskany, poczem zjeżdża w dół, a dostawszy się na ziemię, wyskakuje ze swego pojazdu i zbiera rzęsiste oklaski zdumionej publiczności, która podczas tej szalonej jazdy prawie wcale go nie widziała, obserwowała tylko jego beczkę przesuwającą się z niezmierną szybkością po torze i słyszała lekki turkot.

Na pozór w jeździe tej nie ma nic niebezpiecznego, gdyż odbywa się ona na mocy znanego z fizyki prawa siły odśrodkowej, która na chwilkę znosi prawo ciężkości i pozwala beczce zawisnąć niejako w górze między niebem a ziemią. A jednak rzecz nie jest tak łatwa, jak się wydaje i jeżeli mr. Broms wyznacza 10.000 K. premii temu, coby taką samą jazdę wykonał, to może liczyć na pewno, że taki śmiałek nie rychło się znajdzie. Przedewszystkiem bowiem zważyć należy, że chociaż cała podróż trwa tylko $4^1/_3$ sekundy, to jednak w czasie tym beczka obraca się prawie 40 razy naokoło swej osi, wywołując u podróżnego silny napływ krwi do głowy nietylko wskutek ciągłej zmiany pozycyi ciała, ale także wskutek ogromnego ciśnienia powietrza, jakie wytwarza się w beczce podczas jazdy. Drugą trudność stanowi to, że człowiek nie jest martwą bryłą i chociaż wciśnięty w beczkę, narażony jest na mimowolne odruchy ciała, które grożą co chwila tem, że beczka chybi linii dla jazdy wyznaczonej i albo np. spadnie z pochyłości toru albo z ogromną siłą wyleci z obrębu pętlicy na arenę.

Mr. Broms, siedząc w beczce, musi więc zachować zupełny spokój ciała i baczyć na to, żeby punkt ciężkości nie przesunął się nieodpowiednio. Niebezpieczeństwo to jest największe w tych punktach, w których beczka wspina się niejako pod sufit obręczy, kierując się w prawą stronę; tego momentu musi najuważniej pilnować mr. Broms, i aby siły odśrodkowej nie sparaliżować, musi nieznacznie również podawać swe ciało nieco na prawo. Wszystko to wymaga doskonałych płuc, giętkości ciała, a przedewszystkiem wielkiej energii i przytomności umysłu. Te kwalifikacye posiada też mr. Broms. Jest to młody, bo nie mający jeszcze lat 30 człowiek, zgrabny i przystojny. Ojciec jego był dżokiejem, on sam był jakiś czas akrobatą, z rodu więc i z zawodu ma podostatkiem odwagi i zręczności.

Chociaż zasada, na której opiera się przyrząd mr. Bromsa, jest powszechnie znaną, bo nawet w szkołach pokazują kolejkę biegnącą po takiej samej choć miniaturowej pętlicy, przecież dotychczas nikt tej karkołomnej jazdy nie próbował w ten sposób jak mr. Broms. Gdyby wnętrze obręczy było wyłożone szynami, wówczas cała jazda nie przedstawiałaby żadnej trudności, gdyż pojazd tocząc się po wyznaczonej drodze, nie mógłby żadną miarą z obręczy wylecieć. Ale w pętlicy mra Bromsa szyn nie ma. Nie odrazu też nawykł mr. Broms do swej jazdy. Z początku robił próby na małą skalę, przyzwyczajał się do obrotów beczki, nieraz zdarzyło mu się potłuc, przytem ciągle ulepszał swój przyrząd, który jakkolwiek i co do materyału i co do konstrukcyi jest bardzo prosty, wskutek licznych poprawek i przebudowań kosztował go 7000 mk. Sztukę swą wykonuje mr. Broms od półtrzecia roku, a niedawno popisywał się nią w Londynie w Pałacu kryształowym, dokąd też ma wkrótce powrócić. Że zawód jego jest bardzo niebezpiecznym, o tem świadczy wypadek, jaki mu się zdarzył niedawno w Budapeszcie. Było to tak, że mr. Broms już po przebyciu pętlicy wypadł z dolnego toru, jak z procy, wskutek tego, że blacha na tym torze była przypadkowo cokolwiek nadgięta. Beczka potoczyła się na piasek i uderzyła o drewnianą krawędź areny; na szczęście skończyło to się tylko na silnem potłuczeniu akrobaty, który potem na jakiś czas musiał swych produkcyj zaprzestać.

Jedynym konkurentem mra Bromsa jest sławny cyklista Diavolo, Amerykanin, który przebywa taką samą pętlicę, jadąc na rowerze. Jest to sztuka bardziej zdumiewająca, choć prawdopodobnie nie o wiele mniej niebezpieczna, niż sztuka Bromsa, gdyż jazda cyklisty w pętlicy jest przez to ułatwioną, że i pas jest większy, ma bowiem 2 m. szerokości, i przytem Diavolo raz tylko zawisa głową w dół, mr. Broms zaś w tym samym czasie obraca się 40 razy, zużywając mnóstwo siły nerwowej. Jego jazda, zwana po angielsku „Looping the Loop" zwabi niewątpliwie do cyrku Truzzich wszystkich, którzy są żądni niezwyczajnych i zapierających oddech widowisk.

Wystawa moreli. W Zaleszczykach urządzono w tych dniach wystawę moreli, z których — jak wiadomo — słyną okolice zaleszczyckie. Pomysł do urządzenia tej wystawy dał kierownik zakładu sadowniczego w Zaleszczykach, p. Kazimierz Brzeziński, i dzięki to głównie jego staraniom wystawa udała się świetnie. Trwała ona od ubiegłego piątku do niedzieli włącznie, a obesłało ją około 50 producentów, a z przysłanych przez nich okazów zwracały na siebie uwagę zwłaszcza morele z ogrodu inżyniera p. Gwalberta Ziembickiego, z ogrodu dóbr Zaleszczyckich, z ogrodu p. Wincentego Thiela i kilku włościan. Z gmin sąsiednich przysłały ładne okazy Dobrowlany, Zazulińce, jak niemniej i Zakład sadowniczy w Okopach braci Niemczewskich. Nagrody za najpiękniejsze okazy ustanowione zostały przez Wydział krajowy i wydział powiatowy, Towarzystwo ogrodnicze w Krakowie i gminę Zaleszczyki. Z nagród tych otrzymali dyplom uznania: Zakład sadowniczy w Zaleszczykach, list pochwalny: Okopy Zakład braci Niemczewskich, p. Gwalbert Ziembicki, x. Aleks. Knihynicki, list pochwalny miasta Zaleszczyk: Zarząd dóbr Zaleszczyki, nagrody zaś w pieniądzach włościanie: Jan Mamałyga ze Starych Zaleszczyk, Piotr Krasij ze Starych Zaleszczyk, Fedor Romacki ze Sta-

---

czwartej zatoką, wznosi się wielka kopa, usypana z popiołów, z pióropuszem dymu, wiecznie wieńczącym jej wierzchołek. Jedna jej krawędź zabiega aż do morza, inne dookoła zlewają się łagodnie z polami Kampanii. Rozsiadła się ta masa na milę wszerz i na milę wzdłuż, wznosząc się mozolnie w górę trochę wyżej, niż na wiorstę. Nigdzie nie dostrzega oko stromych, przepaścistych krawędzi. Model tej góry możnaby usypać z najlotniejszego piasku. Dopiero od połowy wysokości wzrok, biegnący po krawędzi, musi się szybciej wzbić w górę: na spłaszczonej podstawie w samym środku unosi się nagle szczyt tej wielkiej kopy z grzbietem wgiętym jak siodło, tworząc dwa stożkowate czuby: ten niższy — to Monte di Somma, ten wyższy — to Monte del Vesuvio, mieszczący w sobie straszną gardziel — główny krater wulkanu.

Tylko w górnej swej części, mniej więcej od połowy wysokości, góra posiada dziki, ponury charakter. Otoczona, jak wieńcem, bujną zielenią płaskiej Kampanii, ma jeszcze drugi wieniec, opierścieniający ją tuż u samej podstawy. Tworzy go nieprzerwany nigdzie szereg miast, miasteczek i osad, które, niepomne losu Pompei, obsiadły mrowiem podnóże wulkanu. W tym pierścieniu leży Neapol, Portici, Torre del Greco, Annuziata, Pompeja, Ottajano, Anastasia i — a któżby je zresztą spamiętał wszystkie! Jest to pas białych, ogromnie białych domów, wież kościelnych, strzelistych palm i snujących się gdzieniegdzie, jak małe obłoczki, białych dymów. Wyżej — znowu zielony wieniec winnic, z porozrzucanemi tu i owdzie wioskami, a jeszcze wyżej tylko oddzielnymi domkami.

Winnice, winnice i winnice. Popiół wulkanu i zwietrzała lawa dają bajeczne urodzaje wina, a człowiek — chciwy, bo biedny, wspina się coraz wyżej ku górze, kopie, ryje, jak kret, urywa po kawałku, przyczaja się i w ledwie wczoraj zastygły popiół wsadza płonki, żeby mu z niego wyssały drogocenny napój.

Ale wulkan się broni. Podkurza dymem — nie pomaga, wstrząsa całą górą, rezultat nie wielki: tu i ówdzie zwali domek, lecz zaraz na jego miejscu staje nowy, a winorośl ssie i ssie „łzy" wulkanu dla niego, dla człowieka!

Więc ciska kamieniami. Wtedy naturalnie już gorzej, ale i na to jest rada. Ludność po rozmaitych znakach, naprzykład po ilości wydobywającego się z krateru dymu, po sposobie jego układania się, lub po znikaniu wody w studniach, z góry już wie, czego ma się spodziewać. Jeżeli grad kamieni zapowiada się słabszy, chroni się tylko w domach; jeżeli zaś zanosi się na większą awanturę, wszyscy mieszkańcy góry zbiegają tłumnie na Kampanię, do dalszego Castellamare, Neapolu, lub Sorrento.

Więc nie pomaga i to. Ludzkie mrowie ukryte po kątach, strwożone, wyziera z kryjówek, pilnie wypatrując, kiedy straszny potwór uspokoi się i ścichnie, i kiedy będzie mogło znowu dorwać się do jego cielska. I rzeczywiście wulkan cichnie. Ludność, jak tłumnie zbiegała, tak równie tłumnie wraca, obsiada znowu garby góry, naprawia szkody, wytłacza z gron „łzy", je makaran, tyje i dziękuje Madonnie.

Ale nie zawsze kończy się wszystko tak dobrze. Często spokój ten bywa tylko pozornym. Wulkan, jak podrażnione do żywego zwierzę, chce zadać cios śmiertelny i przyczaja się. Cichnie tak zupełnie, że nawet nie oddycha, bo przez kilka dni nie wypuści z gardzieli ani obłoczka dymu. Milczkiem wciąga tylko w siebie wodę z zatoki i z okolicznych źródeł. To jego dynamit. Nabija się, podminowuje piekielnym chichotem zemsty i wybucha.

A wtedy na ziemi, morzu i niebie dzieją się rzeczy zupełnie przechodzące wyobraźnię ludzką. Nastaje dzień gniewu i klęski. Wszystko szaleje. Cały porządek świata wywraca się do góry nogami. Walą pioruny, ale pod ziemią; lecą kamienie, żużle, całe skały, ale w górę; ciemno jest — ale na niebie; pada blask, ale z rozwartych czeluści. Ziemia trzęsie się ze strachu, jak liść osiki i szerzy zagładę wszystkiemu, co na niej jest. Całe miasta padają odrazu w gruzy, albo w jednej chwili stają się zakopanym grobem. Skały leją się jak woda, morze kipi i leci w górę. Pomimo tęczy Noego wraca się potop, ale z popiołu i błota. Nastaje zupełny chaos wszystkich żywiołów. Świat staje się bezładnem kłębowiskiem szamocących się ze sobą skał, popiołów, ognia, wody, huku, lawy, piorunów. Aż sama natura, wstydząc się strasznego widowiska, jakie z siebie daje, zakrywa to wszystko nieprzenikniona mgłą dymu i pary.

Ale teraz wulkan jest spokojny, o czem nas zresztą zapewnia przewodnik. Patrzy on jednak na nas tak, jakby był pewnym, co ma mówić. Bo przecież różne są gusta na świecie, a przewodnikowi o jedno tylko chodzi, o suty napiwek, więc czy to mu nie wszystko jedno, czy nastraszy cudzoziemca, jeżeli mu to sprawia przyjemność, czy go zapewni, że wulkan nie zabił nigdy nawet marnego królika. Ale po naszych minach nic wymiarkować nie może.

Tak, wulkan jest spokojny, chociaż... O! zdarzają się straszne wybuchy! Wczoraj wiele kamieni spadło koło krateru, ale... to zawsze tak bywa i nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. A czasem, strach, co się dzieje. Ot tam, na prawo, ciemna, podłużna smuga między winnicami — czy widzimy? to lawa z przed piętnastu laty; aż tam zawędrowała! Tylu a tylu ludzi zginęło wtedy. Ale teraz, od kilku tygodni wulkan jest spokojny jak dziecko i t. p.

Czy jest jak dziecko, nie ręczymy, ale że wydaje się spokojnym, widzimy to sami. Jesteśmy właśnie już blisko końca spłaszczonej jego podstawy i wznosi się przed nami bardziej stromy i ponury, aniżeli się to wydaje z dołu.

Bo oto zalega przed nami ciemne, prawie czarne usypisko żużli i popiołu, nie urozmaicone żadną rośliną, żadną jaśniejszą plamą, żadną oznaką życia. Ze samego szczytu, powoli, leniwie, wielkimi kłębami wydobywa się zielonawy dym, rozwłóczy się po niebie i ginie w niezmiernej przestrzeni gdzieś daleko po za Neapolem.

W tej wielkiej górze popiołu, leżącej przed nami, rozróżniamy jeszcze dwie kondygnacye, jakby piętra. Niższe i większe, to dawny stożek wulkanu, usypany i ulany z lawy już przed wielu laty; na tem zaś, jak góra na górze, sterczy nowy stożek, stromy i czubiasty, utworzony przez ostatnie wybuchy. Raz po raz przesłania go dym, powlekając tajemniczością i pewną grozą. Przez całą wysokość od samego wierzchołka aż do podstawy dawnego stożka i nawet dalej, prawie do samej Kampanii, ciągną się długie, wązkie garby, jakby wały, jeszcze ciemniejsze od popiołu, obejmujące swemi kleszczami całą górę. Są to niedawne wypływy lawy, która nie zdążyła jeszcze zwietrzeć, a nawet w niektórych miejscach i wystygnąć. Widać je dobrze niżej, między zielonemi winnicami, jak zdaje się zsuwać na dół, grożąc wioskom i miastom, leżącym tuż pod niemi.

Droga staje się coraz mozolniejszą i dzikszą. Właściwie nie ma tu już jej wcale. Wązka, ciemna smuga między coraz uboższemi i młodszemi winnicami oznacza miejsce, którędy trzeba kierować konie. Brną one w sypkim, suchym popiele, z trudnością wyciągając nogi. Przewodnicy nasi zachęcają je i popędzają w przeoryginalny sposób: oto poprostu trzymają je za ogony i kręcą niemi jak korbą od kataryńki. Nieustanne krzyki: no, Macaroni! no, Beefsteak! — mają jeszcze dolewać oliwy do ognia.

Upał dokucza nam strasznie. Odczuwanie jego powiększa jeszcze zupełną świadomość, że choćbym umierał z pragnienia, nie znajdzie się tu nigdzie ani kropla wody! Jednostajność widoku staje się nużącą. Pomimo przestróg, w Bosco-Trocase oglądam się po za siebie. I nic. Jesteśmy w jakiejś kotlinię: ten sam czarniawy popiół z wystającemi gdzieniegdzie listkami młodych winorośli, nad tem niebo, na niem trochę dymu — i to wszystko.

Naraz zaczynamy się wspinać tak stromo pod górę, że twarze nasze niemal dotykają grzyw końskich.

— Teraz proszę się nie oglądać — ostrzega przewodnik.

Ani nam to w głowie. Czujemy pod sobą z jakim wysiłkiem konie dźwigają w górę swoje ciężkie zady. Myśl mimowoli zaprząta się wyobraźnią, co by to było, gdybyśmy tak polecieli tyłem w dół. Nareszcie z między uszu konia dostrzegam kawałek równiejszej trochę przestrzeni. Jeden jeszcze ciężki wysiłek i konie stają.

— Już — słyszę z tyłu głos przewodnika.— Co już? Oglądam się mimowoli i aaa!... Pode mną, przedemną i nademną szeroka bezbrzeżna przestrzeń błękitu. Składa się na nią morze, które mam pod sobą, gdzieś w dalekiej głębi — i niebo, jakby drugie morze, rozlane ponad światem. Dwa bezmiary stopiły się w jedną błękitną nieskończoność bez końca i bez granic. I tak cicho! Liliowe Sorrento, różowa Capri i sinawa Ischia wydają się obłokami, snującemi się sennie po tym oceanie nieba. Małe rybackie łodzie z białymi żaglami, jak stado mew rozproszyły się po zatoce. Cała góra na której stoję, wydaje się wielkim korabiem, żeglującym po falach przestrzeni. I to dziwne, nigdy niedoznane, nigdy nieodczuwane wrażenie, że się ma niebo pod stopami.

I nagle wydało mi się, że jestem już po tamtej stronie istnienia i że wraz z cieniem tej istoty, którą najmocniej kochałem tu na ziemi, suniemy po tych błękitnych obszarach tak bez troski i niepokoju, jak tylko duchy być mogą. Muzyka sfer, grająca ciszą i ukojeniem niepamięci, kołysze nas i upaja, a my, spleceni uściskiem dusz, dajemy się unosić tym wiewom przestrzennym po tej nieskończonej przeźroczy światła, łagodnych barw, grającej ciszy i zapomnienia — och, przedewszystkiem zapomnienia!

A jeżeli to jest tak, to czegoż się mam bać śmierci?

(Dokończenie nastąpi).

rych Zaleszczyk, Iwan Barabasz z Dobrostan, Stefan Gorczyński z Zaleszczyk, Jan Śnigórski z Zaleszczyk, Wasyl Gembatuch ze Starych Zaleszczyk.

Konkurs celem obsadzenia jednego miejsca bezpłatnego w małem seminaryum we Lwowie rozpisuje konsystorz metropolitalny obrz. łać. dla ubogich uczniów drugiej lub trzeciej gimnazyalnej, religii rzym. kat. narodowości polskiej, z terminem do 10 sierpnia rb.

Z Krakowa piszą: Przeżyliśmy tu tak ciężką tragedyę wylewów, że na Kraków zwrócone oczy wszystkich, współczujących z ludzką niedolą. U nas do ciężkiego żalu łączy się i uczucie upokorzenia i wstyd niedołęstwa... że nie umieliśmy dość wytrwale żądać, zbyt twardo i solidarnie się trzymać, a działać mądrze, zapobiegliwie, żeśmy samopomocy zaniechali zupełnie... i oto przyszło nieszczęście z peryodyczną systematycznością i konsekwencyą, i zastało nas nieprzygotowanymi, jak zwykle.

Regulacya rzek nie wyszła z krainy obiecanek i projektów, więc po dawnemu hulają górskie rzeki, Wisła wzbiera, Rudawa zalewa połowę miasta. Po dawnemu okazuje się, że nikt o tej grozie nie pamiętał, nikt nie był przygotowany na przyjęcie wrogiego żywiołu. Miasto nie posiada dostatecznej ilości wozów, łodzi, tratew, ludzie łopat, sznurów, haków i narzędzi ratunkowych. Więc tonęło masami bydło, tonęli ludzie gdziegdzie. Marli głodem po strychach, noce spędzali pod gołem niebem — i wracając, zastawali pustkę i nędzę beznadziejną. A rzeka nasza nie ma własności błogosławionej Nilu. Wisła nie wraca, co zabrała, nie użyźnia nawiedzonych gruntów, ale przeciwnie, grozi ciężkim rokiem biednym rolnikom, grozi w skutkach swoich niepospolitych odwiedzin: chorobami, nędzą...

I tak, jak zawsze, Kraków dążył ku ul. Wolskiej, ku Błoniom, na Zwierzyniec i pod Wawel; przekonywał się, że wylewy gorsze, jak kiedykolwiek, uczyniły spustoszenia, przekonał się, że pod wodą popularna „Wenecya" dr. Ludwika Dębickiego, że dom p. Ulanowskich zalany tak, że ledwo cenną bibliotekę uczonego profesora, sekretarza Akademii, zdołano ocalić, że prof. dr. Wicherkiewicz musiał ze swej kliniki ocznej (przy ul. Wolskiej) przewozić chorych do hotelu, że park Jordana ucierpiał bardzo od wylewów! Ze współczuciem śledził, daleko na Wiśle, przeprawiających się, z niebezpieczeństwem życia nieraz, biedaków lub tych innych, którzy z suteren zalanych uciekli z dobytkiem i rozłożyli się na stokach Wawelu, na wałach, z kołyskami i poduszkami. I posypały się nader hojne składki, bo u nas serca zapalne i gorące. Cesarz przysłał 25.000 K., możni ludzie dawali dużo, najbiedniejsi nawet rzucali centy na tace, przy których w różnych punktach miasta posiadały panie. W pismach ukazały się gorzkie uwagi nad milionami, które giną marnie co roku, gdy część ich mała mogłaby wystarczyć na odratowanie Krakowa od klęski. Regulacya Wisły konieczna, ale na razie odwrócenie koryta Rudawy dałoby zabezpieczenie i spokój. Jest nadzieja, że skutek próśb i działań zostanie osiągniętym, że nie skończy się na rzewnych 100 bochenkach chleba, gdzie ich trzeba tysięcy. Właśnie w energii i żywotności dzielnego namiestnika nadzieja, że on tej sprawy nie puści z rąk, póki nie przeprowadzi. W Wiedniu czekają jego sprawozdania z rozmiarów klęski, by ponoć odpowiednią pomoc zdarzyć. A on wszędzie był, o wszystkiem przekonał się naocznie. I pan namiestnik, i p. delegat namiestnictwa Fedorowicz, i p. prezes rady powiatowej, Paszkowski, osobiście pracowali przy ratunku. Trzeba więc mieć nadzieję, że z tylu serc zgnębionych, zbolałych, obnażonych złem, a dobra pragnących, wydobędzie się głos silny i przejmujący, który musi być wysłuchany i że stawione w Wiedniu postulaty deputacyi zostaną przyjęte i spełnione. Od naszej energii, od naszej wytrwałości z pewnością zależy wszystko.

Skargi na Krynicę. Jeden z lekarzy warszawskich, który wysyła swoich pacyentów wyłącznie do polskich uzdrowisk i który w tym roku sam wybrał się do Krynicy, wypowiada o tem uzdrowisku naszem następujące uwagi:

Wyśmienicie jest wyposażona, obdarzona cudami natury i posiadająca w swych źródłach skarby pierwszorzędne. Niestety jednak ludzie uczynili dotychczas jeszcze za mało, aby uzupełnić bogactwa naturalne i podnieść Krynicę na wyżynę kultury postępowej. Pomijając bowiem braki kanalizacyi, pomijając i to, że potoku zwanego Kryniczanką nie ujęto dotychczas w karby właściwe, Krynica posiada mnóstwo wad, które dla pacyentów jako takich najprędzej należałoby usunąć:

1) Tak zwany deptak kryty (do picia wód mineralnych podczas deszczu) ma dach dziurawy miejscami, podłogę zaś drewnianą z olbrzymiemi szparami, wypełnionemi błotem i kurzem, po wierzchu zanieczyszczoną plwocinami i niedopałkami cygar cuchnących. Nie ma ani jednej spluwaczki w całym deptaku, ani jednego napisu: „Nie pluć na podłogę." To samo można powiedzieć o kurytarzach łazienkowych.

2) W całym deptaku krytym i odkrytym, w całym parku nawet, nie ma ani jednego porządnie i hygienicznie urządzonego klozetu. Jest tylko jakaś szkaradna, cuchnąca budowla pod „bazarem żydowskim," zdolna wywołać wymioty i bole głowy u przeciętnego europejczyka.

3) Wszystkie porządniejsze wille położone są tuż nad prawym brzegiem Kryniczanki, rzeczułki maleńkiej i nader płytkiej, która zatruwa powietrze (*Quo modo?* łatwo się domyślić). Pokoje parterowe przesycone są wilgocią, wodę do picia trzeba nosić z oddalonych pomp źródlanych, miejsca ustępowe urządzone są arcypierwotnie, ziejące miazmatami i zaduchem, zatruwającemi pobyt w całej willi.

4) Jedzenie w restauracyach nie jest ani smaczne, ani zdrowe. Jedyna kuchnia, czyniąca zadość wymaganiom cywilizowanego człowieka, znajduje się w t. zw. „domu zdrowia", gdzie potrawy przygotowywane są względnie czysto i z jakiem takiem wyrobieniem w sztuce kulinarnej.

5) Pojęcia o antyseptyce i asepsyce są w Krynicy mało wyrobione. Np. w pierwszorzędnym zakładzie fryzyerskim obmywają twarz po ogoleniu starą, brudną gąbką, a następnie pudrują ją dobrze zużytym puszkiem. Takie zwyczaje u nas, w Królestwie, panują chyba w ostatnich budach golarskich na partykularzu.

6) Zachowanie się publiczności chałatowej jest wprost niepojęte. Zajmuje ona wszystkie ławki na deptakach w pozach leżących i w chałatach porozpinanych. W parku również rozkłada się publiczność w zupełnych negliżach na ławkach i trawnikach, zapluwając i zanieczyszczając przejścia i ścieżki.

Pierwszy Polak kadetem okrętowym. Pisma amerykańskie donoszą, że ośmnastoletni rodak nasz, Michał Torliński, zdobył stopień kadeta w amerykańskiej akademii marynarki. Jest to pierwszy Polak, który tego zaszczytu dostąpił w Ameryce. „Egzamin, który złożył pomyślnie Torliński — czytamy w *Dzienniku Chicagoskim* — był niezwykle trudny, a współubiegających się było bardzo wielu. Torliński pozyskał najwyższe stopnie przy egzaminie, a potem przeszedłszy pomyślnie fizyczną egzaminacyę, został zamianowany przez członka kongresu Palmera członkiem „*United States Naval Academy*" z pomiędzy liczniejszych aplikantów, aniżeli zazwyczaj starają się dostać do tej krajowej szkoły nautycznej.

Michał Torliński jest synem polskich rodziców, którzy przybyli do Ameryki w pierwszych latach po swem pobraniu się i osiedlili się w okolicach kopalń w Pennsylwani, gdzie odtąd zawsze mieszkali, i gdzie Michał urodził się i kształcił. Był on zawsze szczególnie pilnym chłopcem, a rodzice jego starali się, ile zdołali, wypełnić jego pragnienia uczenia się. Kiedy miał 6 lat, rodzice jego przenieśli się z Wainamie do Nanticoke, ażeby chłopiec miał lepszą sposobność do uczenia się. Tam pozyskał dobre początki, uczęszczając do parafialnej szkoły rzymsko-katolickiego kościoła św. Stanisława. Ale kiedy miał lat 11, oddano go do pracy w składzie ubrań. Zamiłowanie jego do książek jednakowoż było tak wielkie, iż pozyskał przekonanie, że handel i przemysł nie są dla niego. Na szczęście rodzice jego zgodzili się na jego życzenia. Przekonawszy się o zdolnościach swojego syna, posyłali go do wyższych szkół, gdzie się kształcił aż do czasu, kiedy go spotkał zaszczyt, o którym wspomnieliśmy".

Były arcyksiążę austryacki Leopold Ferdynand, który obecnie nazywa się Leopold Wölfling, ożenił się w ubiegłą sobotę z panną Adamowicz. Ślub odbył się w wiosce szwajcarskiej Veyrier pod Genewą.

Kobiety architektami. Akademia sztuk w Petersburgu wprowadza z początkiem przyszłego roku szkolnego oryginalną nowość. Oto przyjmowane tam będą odtąd na wydział budownictwa i architektury w charakterze słuchaczek zwyczajnych — kobiety. Do tej pory zapisały się już na ten wydział dwie kobiety. Przy tej sposobności zauważyć wypada, że dopuszczenie kobiet do tego rodzaju studyów jest nowością, dotychczas bowiem w całym świecie jedynie budownictwo i architektura były jeszcze dla kobiet niedostępne i dopiero teraz pierwsza Rosya uczyniła w tej mierze początek.

Narzeczona siostrą. Naprózno powieściopisarze wysilają wyobraźnię; to, co się zdarza w życiu, przewyższa wszelkie wymyślone przez nich powikłania. Do takich tragedyi zalicza się wypadek, opisywany przez wszystkie dzienniki amerykańskie. Panna Violetta Bedward, należąca do wyższego towarzystwa w Toronto, rano w dzień swoich zaślubin z panem Arturem Trevellyan, otrzymała od narzeczonego pudełeczko z następującym listem: „Ukochana moja! Przesyłam ci najdroższy skarb, jaki posiadam: miniaturę mojej matki, która, jak wiesz, odumarła mię w dzieciństwie. Ojciec mój przechowywał ten wizerunek jak relikwię. Przyjmij go i pamiętaj, że jesteśmy złączeni na zawsze. Twój do śmierci — Artur Trevellayn". Przysłanie tego podarunku zapobiegło katastrofie. Trzydzieści lat przedtem, bogaty szlachcic angielski, Jeffrey Brandenburne, zaślubił w Ameryce młodą Angielkę.

Małżeństwo nie było szczęśliwem i rozłączyło się wkrótce po przyjściu na świat syna. Pani Brandemburne wróciła do Europy, a mąż jej wraz z dzieckiem przeniósł się do Toronto w Kanadzie, gdzie zmienił nazwisko na Trevellyan, gdyż tak się nazywała jego matka. Syn ukończył chlubnie wydział medyczny w miejscowej wszechnicy i w lat kilka zasłynął jako lekarz. Po śmierci ojca uważał się za zupełnego sierotę, gdyż pan Trevellyan mówił mu zawsze, że jego matka nie żyje. Tymczasem pani Brandenburne zaślubiła w Londynie wyższego urzędnika, pana Bedwarda i miała z nim córkę Violettę.

Dwa lata temu wszyscy troje przenieśli się do Toronto, gdzie pan Bedward otrzymał bardzo korzystne miejsce. W salonach gubernatora dr. Artur Trevellyan poznał uroczą pannę Bedward, która zachwyciła go nietylko pięknością, ale i niepospolitą inteligencyą. W jej sercu także zrodziło się żywsze uczucie dla przystojnego młodzieńca, a ponieważ na pozór nic nie stało na przeszkodzie temu małżeństwu, dzień ślubu został naznaczony. Przyjaciele i krewni nadesłali mnóstwo kosztownych podarunków; narzeczony zaś, wiedziony subtelnem uczuciem delikatności, ofiarował wybranej swego serca wizerunek zmarłej matki. Młoda oblubienica pobiegła pokazać miniaturę swojej matce. Pani Bedward, zobaczywszy ją, zbladła i krzyknęła — była to jej własna podobizna. — W tej chwili zaczęły się zjeżdżać karety z gośćmi weselnymi. Łatwo sobie wystawić boleść i zarazem radość Artura Trevellyan: utracił wprawdzie narzeczoną, ale zyskał siostrę i matkę, którą zawsze uważał za umarłą.

Pomnik dla wynalazcy zegarków kieszonkowych. Wynalazca zegarków kieszonkowych, ślusarz norymberski, Piotr Henlein, żyjący na początku XVI wieku, doczekał się pomnika. Wystawiło mu go w mieście Glashütte w Saksonii, stowarzyszenie zegarmistrzów niemieckich. Zegarki Henleina, znane z powodu swojego kształtu pod nazwą jajek norymberskich, stanowią dziś rzadkość antykwarską.

Zmarli. W Szymbarku: Floryan Montag, inżynier górniczy. — W Czerniowcach: Antoni Papp, starszy komisarz straży skarbowej. — W Krakowie: Antonina z Krumłowskich Schwarzowa, żona lekarza.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 13 w poł. + 17. Bar. 764. Podnosi się. Pochmurno. Chwilami deszcz.

Kobieca logika.

Mąż przed wyjazdem do teatru: Moja Zosiu, możebyś się też pośpieszyła z toaletą. Już i tak jesteśmy spóźnieni.

Żona: Mój drogi, ja się śpieszę już od dwóch godzin.

Przyszły lekarz.

— Wie papa, nauczyłem się już tak pisać swoje nazwisko, że nikt go przeczytać nie może — oświadcza dumnie 8-letni Józio.

Widowiska i koncerty.

Teatr miejski. Dziś we wtorek „Druciarz". We środę „Wesoły inwalida.—We czwartek „Trzy życzenia." — W sobotę „Trójka hultajska.—W niedzielę „Piękna z N. Jorku".

Repertuar letniego teatru ludowego przy ul. Kochanowskiego l. 23. Dziś we wtorek „Łapownicy," komedya w 5 aktach Ostrowskiego. Występ p. Szczurkiewicza, artysty teatru krakowskiego w roli Jusufa. — We czwartek 30 lipca występ Adolfiny Zimajer. Po raz pierwszy „Nitouche," operetka w 4 a., muzyka Hervego.

Cyrk. Dziś we wtorek wieczór nowości. Looping the loop, jazda po pętlicy w zabójczem kole. Nowa wielka sensacya 20 wieku, wykonana przez Amerykanina światowej sławy mr. Bromsa. Produkował się on w Londynie w pałacu kryształowym 300 razy. Mr. Broms ofiarowuje 10.000 koron temu, kto taką jazdę wykona. Występ wszystkich artystów i artystek.

Colosseum w pasażu Hermanów. Codziennie o godz. 8 wieczorem wspaniałe przedstawienie, w niedzielę dwa przedstawienia, w ogrodzie, a w razie niepogody w sali przy stolikach na wzór teatru Ronachera. Obecnie zapasy damskie; 10 najsilniejszych kobiet świata i dziewięć różnych atrakcyi.

Z targów zbożowych.

Wiedeń, 26 lipca.

(Z.). Dawno niebywały ruch panował na wczorajszym targu tygodniowym. Zjechało się bowiem wielu handlarzy zboża z prowincyi, przybyli także reprezentanci rozmaitych firm exportowych, zwabieni tem, że spodziewali się zastać próbki rozmaitych gatunków tegorocznej pszenicy, zebranej już na Węgrzech. Oczekiwania te nie zawiodły ich, próbek było istotnie bardzo wiele a pozwalają one wyrobić sobie dosyć dokładne pojęcie o tegorocznym zbiorze na Węgrzech. Jakościowo wypadł tam zbiór pszenicy gorzej niż w roku ubiegłym. Obok bowiem prześlicznych gatunków prima znajdują się też sorty bardzo liche, zwłaszcza z tych okolic, w których bardzo wcześnie zaczęto żąć.

Także żyto węgierskie pod względem jakości przedstawia wielką rozmaitość. Najpiękniejsze pochodzi ze Słowaczyzny, liche zaś jest z okolic Pesztu, t. z. Pester-Boden.

Kilka znacznych transakcyi zrobiono także w jęczmieniu, który zwłaszcza w północnych komitatach węgierskich pięknie zarodził. Bardzo dobrze zapowiada się do tej pory także owies i kukurudza.

Co się tyczy szans eksportu, to są one stosunkowo znacznie lepsze niż były w poprzednich latach, zwłaszcza dla gatunków prima. Kilka wagonów pszenicy najlepszej jakości zakupiły też firmy zagraniczne. Powszechnie sądzą, że jeżeli ceny amerykańskie utrzymają się bodaj na obecnej wysokości, w takim razie export zboża z naszej monarchii bodaj do krajów najbliżej położonych, t. j. do Szwajcaryi i do południowych Niemiec ma wszelkie widoki powodzenia.

Zanosi się także na dosyć ożywiony eksport mąki; młyny peszteńskie sprzedały już ostatnimi dniami dosyć znaczne ilości przedniej mąki za granicę.

Spodziewają się także, że eksport jęczmienia będzie w tym roku więcej ożywiony niż w ubiegłym, gdyż jakość jego jest na ogół biorąc piękna, chociaż dotychczasowe próbki nadesłane z Węgier nie wykazują tak poszukiwanego za granicą ziarna o białym kolorze.

W Austryi pogorszyły się znacznie szanse zbiorów w ciągu minionego tygodnia. Pominąwszy bowiem powodzie, które nawiedziły Szląsk i niektóre powiaty Galicyi zachodniej, zrządziły ostatnimi czasy grady w wielu okolicach ogromne szkody. Zwłaszcza w Czechach są spustoszenia zrządzone przez grad ogromne, dotknięte zostały niemi przeważnie takie okolice, które zazwyczaj zasilają swem zbożem inne powiaty. W tym roku nie będą one miały nawet tyle zboża, ile potrzebują na wyżywienie własnej ludności i będą zmuszone sprowadzać zboże węgierskie.

Dzisiejszy stan zapasów głównych gatunków ziarna, nagromadzonych w Wiedniu, jest następujący: pszenicy 128 wagonów, żyta 73, jęczmienia 45, owsa 395, kukurudzy 195, soczewicy 37 wagonów.

Płacono loco Wiedeń: Za pszenicę cisańską (78 do 82 kilo) 8·10—8·60, banatkę (76 do 80 kilo) 0·00—0·00, słowacką (75 do 79 kilo) 7·60—8·00, dolno-austryacką (76 do 77 kilo) 7·35—7·60.

Żyto potaniało o 5 do 10 halerzy. — Za żyto słowackie nowe płacono 6·60—6·75, rozmaite węgierskie stare 6·35—6·60, nowe 6·60—6·70, austryackie nowe 6·50—6·75.

Za jęczmień morawski płacono 7·50—8·15, północno-węgierski prima 6·50—7·30, słowacki prima 6·75—7·30, jęczmień na paszę 5·70 do 6·00.

Owies obniżył się w cenie o 5 do 10 halerzy. Za węgierski w poślednich gatunkach płacono 5·65—5·75, średnie gatunki 5·75 do 6·00, prima 6·00—6·55.

Za kukurudzę węgierską płacono 6·60 do 6·70, Cinquantin 7·40—8·00.

Część ekonomiczna.

§ **Wiedeń** 28 lipca. Na poniedziałkowy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź ogółem 4012 sztuk. W tem było z Galicyi 139 sztuk, z Bukowiny 47 sztuk. Przebieg targu był ożywiony. Ceny wyższe o 25 h. Niesprzedanych pozostało 13. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano 20 sztuk po 64 do 68 koron, 84 po 69 do 74, 52 po 75—80, 7 sztuk po 81—82. Buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 60 do 74 koron, krowy podtuczone po 58 do 72 koron, bydło chude po 40 do 58 koron — wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

§ **Z kolei.** Według ogłoszenia umieszczonego w *Gazecie wiedeńskiej* (*Wiener Ztg.*) ma być rozdane w drodze ofert wykonanie robót ziemnych, szutrowania i robót naziemnych, niemniej też budynków i ogrodzenia na częściowej przestrzeni Birnbaum-Assling-Wocheiner-Fristritz, linii kolei państw. Klagenfurt (Willach) Görz Tryest. Oferty będą przyjmowane najpóźniej do 20 sierpnia 1903 12 godz. w południe w c. k. Dyrekcyi budowy kolei państw. w Wiedniu VI Gumpendorferstrasse 10. Warunki i plany mogą być przejrzane w wymienionej Dyrekcyi i w c. k. kierownictwie budowy kolei w Asslin.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Praga 28 lipca. Wśród licznego udziału publiczności otwarto w Horzicy wystawę rolniczo-przemysłową pod protektoratem hr. Harracha.

Budapeszt 28 lipca. Minister honwedów Koloszwary, wezwał komendantów pułków, aby nie powoływali na sierpień tych rezerwistów, którzy są rolnikami, oraz, żeby prośby rolników o urlop przychylnie załatwiali.

Budapeszt 28 lipca. Partya niezawisłości uchwaliła poruszyć w sejmie sprawę manewrów w Bielek.

Wielki Waraździn 28 lipca. Na podminowanym terenie fortyfikacyjnym zapadły się w pewnym domu dwa pokoje i kuchnia. Nikt nie odniósł szwanku. Mieszkańców delożowano. Jest to drugi wypadek takiego zapadnięcia się pomieszkania.

Ischl 28 lipca. Wczoraj przed południem był u Cesarza na audyencyi austro-węgierski ambasador przy Kwirynale, bar. Pasetti. Popołudniu wziął udział w familijnym obiedzie cesarskim.

Haga 28 lipca. Król holenderski postanowił nie akredytować nowego ambasadora przy dworze serbskim.

Belfast 28 lipca. Królestwo przybyli tu wczoraj i wzięli udział w odsłonięciu pomnika królowej Wiktoryi i otwarciu szpitala imienia królowej Wiktoryi. W drodze do szpitala jakaś kobieta przedarła się przez szpaler żołnierzy, dostała się pod powóz królewski, i została przejechana. Ciężko ranną odwieziono do szpitala.

Wręczono królowi adres. Odpowiedział on, że ambicya jego idzie w tym kierunku, by postępować śladami matki i jako cel swój uważa dobro narodu, pomyślność i utrzymanie pokoju.

Temeszwar 28 lipca. W Zebethly wybuchła podczas wypłaty sprzeczka pomiędzy rumuńskimi a niemieckimi robotnikami. W bójce trzech zraniono śmiertelnie, a czterech ciężko.

Petersburg 28 lipca. Wskutek rozporządzenia starszego prokuratora św. synodu polecił biskup w Kiszyniowie duchowieństwu, aby na kazaniach w cerkwiach i naukach poza cerkwią wpływali na prawosławną ludność w tym duchu, by znikła nienawiść religijna do żydów.

(Depesze popołudniowe).

Wiedeń 28 lipca. Prezydent ministrów Koerber udał się wczoraj na dwór cesarski do Ischlu.

Prócz niego przybyli do Ischlu minister skarbu Boehm-Bawerk, minister wojny Pitreich i nowomianowany wspólny minister skarbu Burian.

Londyn 28 lipca. Do „Biura Reutera" donoszą z Pekinu: Administracya rosyjska w Niuczwang zakazała wywozu pszenicy do Japonii. W ubiegłych miesiącach zakupiła Japonia bardzo wiele pszenicy, widocznie w celu nagromadzenia zapasów na wypadek wojny. Wydanemu przez Rosyę zakazowi wywozu pszenicy przypisują poważne znaczenie. Rosya obecnie znów wysłała znaczną liczbę urzędników i rodzin chłopskich do Mandżuryi widocznie celem formalnego kolonizowania tego kraju. Jeżeli Rosya będzie w dotychczasowych rozmiarach wprowadzała ludność rosyjską do Mandżuryi, to do terminu opróżnienia Mandżuryi z wojsk rosyjskich będzie tam już około 100.000 Rosyan kolonistów.

Wiedeń 28 lipca. Minister Piętak powrócił do Wiednia.

Wiedeń 28 lipca. *Fremdenblatt* donosi, że podróż dra Koerbera do Ischlu wywołana została kilka ważnemi sprawami. Wskazują szczególnie na szkody elementarne wyrządzone przez powódź i grady w niektórych krajach koronnych i na potrzebę akcyi państwowej z tego powodu. Dalej taką nagłą sprawą jest wyrażone przez kilka wydziałów krajowych życzenie zwołania sejmów krajowych w celu wynalezienia sposobu złagodzenia klęsk elementarnych. Być może, że dr. Koerber skorzysta z pobytu w Ischlu, by zdać Cesarzowi sprawę o obecnym stanie sprawy cukrowej.

Paryż 28 lipca. Dziś odbyło się w kościele Notre Dame żałobne nabożeństwo za Papieża Leona XIII. W zastępstwie Loubeta przybył jeneralny sekretarz pałacu elizejskiego i jeden z jenerałów. Minister spraw zagranicznych Delcassé przybył osobiście. Prezydent ministrów Combes nie był na nabożeństwie.

Rzym 28 lipca. Przybył tu arcybiskup koloński kardynał Fischer.

Odessa 28 lipca. Rosyjskie Towarzystwo żeglugi parowej zawiesiło ruch swych statków z powodu wybuchu strejku marynarzy i palaczów, domagających się podwyższenia płacy i zmiany innych warunków służbowych. Oczekują tu przybycia marynarki wojennej celem przywrócenia normalnego ruchu.

HOTEL GEORGE'A.

Przyjechali dnia 28 lipca. Kapitan B. Holter z Kołomyi. Dr. H. Nachtel z Paryża. A. Kaczanowski z Podola ros M. Szczepańska z Laszek. M. i P. Jełowickie z Warszawy. K. Paygert z Sidorowa. M. Zakrzewski z Wiktorowa. M. Rosenstok ze Skałatu. F. Biesiadecki z Firlejowa.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 28 lipca. J. hr. Czosnowski, L. Maryański i S. Sokołowski z Rosyi. R. hr. Scipio z Łopuszki. A. Hausser ze Stanisławowa. N. Krokowska z Jagielnicy. B. Grossmann z Mostów wielkich. J. Schmidt, H. Diamant i L. Lewin z Wiednia. J. Madeyscy z Przemyślan. B. Cieńscy z Łoszniowa. E. Fried z Kozowy. O. Grünfelder z Frankfurtu. K. Łubińscy z Krakowca. F. Kraut z Hejda. N. Rosenthal z Borysławia.

HOTEL EUROPEJSKI.

Przyjechali dnia 28 lipca. Hr. Plater z Hłuboczka wielkiego. JE. Merta z Worochty. M. Kalinowski z Warszawy. M. Polański z Kamiennej. J. Wołkowicki ze Strzyżowa. J. Grunner z Berna. M. Lahner i K. Koppi z Wiednia. J. Korzenny z Brzozdowiec. A. Haniker ze Stanisławowa. G. Dadmiński z Warszawy. J. Wagner z Berlina. K. Kohbacher z Magdeburga. Dr. M. Rennbohr z Lipska.

Wiedeń 28 lipca. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kred. z obl. pr. z r. 1890 3% 287.—
" " " " z r. 1889 3% 000.00
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m. k. 4% 277.00
Uregulow. Dunaju z r. 1880 100 zł. 5% 278.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4% 259.—
Pożyczka serbska prem. po 100 frank. 2% 86.60
Tureckie obl. prem. kolej. po 400 frank. 121.50

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 18.80. Zakładu kred. dla handl. i przem. po 100 zł. 430.00, Clary 40 zł. m. k. 163.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 83.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 80.00, Pożyczka m. Lublany 20 zł. 72.00, Ofen 40 zł. 167.00, Palfty 40 zł. m. k. 171.00. Czerwonego krzyża austryackie 10 zł. 54.00, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 26.60, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 68.—, Salma 40.00, m. k. 221.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 80 zł. Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 255.00, Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 452.—.

Wiedeń 28 lipca. (Giełda towarowa). Cukier 20·65 (spokojnie). Spirytus 41·20 (słabo). Nafta niezmieniona.

Berlin 28 lipca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·25. Spirytus 00·00.

Paryż 28 lipca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 97·52. Mąka („Fleur de Paris") 31·70.

Frankfurt 28 lipca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 208·25. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 187·30. Laura 000·00.

Budapeszt 28 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i 50 kilogramów). Pszenica na październik 7·28—7·29; żyto na październik 6·18—6·19, owies na październik 5·30—5·31; kukurudza na lipiec 0·00—0·00, na sierpień 6·20—6·21, na wrzesień 6·21—6·22, na maj 1904 4·95—4·96. Rzepak na sierpień 11·30—11·40. Oferty na pszenicę dobre. Chęć kupna: dobra. Usposobienie: silne. Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 28 lipca.

Marki 117.32, renta majowa 100.40, węgierska renta koronowa 99.35, akcye: austr. zakł. kredyt. 662.50, węg. zakł. kred. 731.00, anglobanku 274.00, unionbanku 528.00, bankvereinu 480.00, länderbanku 410·00, kolei państw. 668.25, lombardy 81.75, akcye kolei Elbethal 423·00, fabryki broni —.—, tytoniowe 000.00, alpiny 366.50, Rima Muranyi 456.00, prag. Tow. żel. 0.000, losy tureckie 122·25, ruble 252.75. Usposobienie: spokojne.

Lwów 28 lipca. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —.— do —.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 570.— do 580.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 635·00 do 645·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor —·— do —·—. Tow. budowy wagon w w Sanoku po 500 koron —·— do 850·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 000·— do 260·—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 111·25 do 000.00 4 i pół proc los w 50 lat 100.80 do 000·00, 4 proc. los w 60 lat 97.80 do 00·00 Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.70 do 102·10. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 98·75 do 99.45 Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc (I emisya) 98·50 do 00·00, 4 proc. los w 41 i pół latach 95·50 do —·—, 4 proc. los w 56 lat 98·55 do 99·25.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 99.80—100.50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 103.00 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II em.) 101.70 do 000.00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 98.80 do 99.50. Pożyczki kraj. z roku 1873 4½ proc, —.— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 99.30—100.00, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 96·30 do 00.00, 4½% po 200 koron 101.50 do 000.00.

Monety. Dukat cesarski 11.24 –11.40. Napoleondor 19.00 do 19·20. Sto rubli papierowych 252.00—254·50. Sto marek 117.·0 do 117.80.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1903 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40***, 6.10, 8.55, 5.50, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.25.
Z Podwołoczysk: (na dworzec główny): **2.30**, 7.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.35, 5.06, 10.02*.
Z Tarnopola: 3.30* (na dw. gł.) 3.09* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12.20.*, 1.40**, 6.20, 5.40, 9.20*.
Ze Stanisławowa: 11.15, **8.10**.
Ze Stryja: 7.45, 9.57, 1.10, 4.35, 10.40*.
Z Rawy i Sokala: 6.50, 5.56.
Z Janowa: 7.40, 1.25, 9.25*, 10.07* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Brzuchowic: 8.15 (od 17|5), 8.14 (od 17|5 w niedziele i święta), 8.04* (od 17|5 w niedziele i święta), 8.25* (od 15|5 w dni powszednie), 9.12* (od 17|5 w niedziele i święta).
Z Tuchli: 4.65 (od 15|6).
Ze Skolego: 4.65 (od 1|5).
Z Pustomyt: 9.35 (od 1|6 w niedziele i święta).

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*, 8.25, 2.50**, 4.10*, 8.35, 6.15*, 10.55*
Do Rzeszowa: 8·25.
Do Przemyśla: 7.20*.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1.50**, 6.30, 9.—*, 11.—*; z Podzamcza: **2.04**, 6.48, 9.20*, 11.24.
Do Tarnopola: 10.40 z dw. głównego, 10.57 z Podzamcza
Do Czerniowiec: **2.51*, 2.40**, 6.22, 10.35, 10·42*.
Do Stanisławowa: 6.05*.
Do Stryja: 6.45, 9.05, 3.05, 6.40*, 11.05*.
Do Rawy i Sokala: 9.40, 7.05*.
Do Janowa: 9.15, 1.14 (od 17|5 w niedz. i święta), 3.15, 6.30*, 9.55 (od 17|5 w niedziele i święta).
Do Brzuchowic: 7.05* (od 17/5), 2.10 (od 17|5 w niedz. i święta), 8.30 (od 15|5), 8.14* (od 17|5 w niedziele i święta).
Do Tuchli: 8.05 (od 15|6).
Do Skolego 8.05 (od 1|5).
Do Pustomyt: 1.55 (od 1|6).

Uwaga. Pociągi pospieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

MATKA.

NOWELA.

Więc zrzucę wreszcie te pęta sercowe, te nieubłagane więzy obowiązku i pójdę swobodna i wolna jak ptak. Ach, bo ciasno mi tu, duszno, ginę w tem szarem, bezbarwnem, filisterskiem życiu.

Dotąd ani jednego dreszczu miłości, ani drgnienia serca, taka pustka, to moje życie dotychczasowe, lecz teraz za to, teraz szczęście mnie czeka bez granic, bez miary. Leci do mnie ten ptak złotopióry, więc mu ramiona otwieram z rozkoszą.

Mąż?... nie kocham go i nie kochałam nigdy, on zaś, nie wiem, nie zastanawiałam się dotąd nad tem, nigdy między nami nic nie było wspólnego, nic nas nie wiąże, nic nas wzajem z sobą nie łączy. Przed prawem łączy nas tylko dziecko — biedna moja ptaszyna, śpi tam spokojnie, nie wie, że za chwilę matki jej zabraknie. Matki?... lecz czy ja byłam kiedy dla niej matką? Czem byłam dotąd dla mojego dziecka, czem? mniej niżli płatną sługą, nie dałam mu serca, nie dałam jednej pieszczoty.

Lecz czy tak bardzo moja w tem wina, czyż można dać to, czego się samej nie doznało w młodości, czyż mogłam dać miłość, przywiązanie, gdy sama w sercu swojem czułam dotąd pustkę, wieczną zimę? Zresztą, jej zapewne wystarczają lalki, zabawki, troskliwa bony opieka, jam zbyteczna, więc mogę o swojem szczęściu pomyśleć.

Dzisiaj, ach dzisiaj, jakże cudne wydaje mi się to dawniej wzgardzone życie; strumień ciepła, słodyczy spływa mi do duszy. — Jak on mnie kocha, on — ten mój wybrany z pośród tysiąca, a taki inny od wszystkich na świecie... mój pan! Z jakim on ogniem mówił mi dzisiaj, że będzie mnie bronił przed opinią świata, od ludzi złośliwych — jak mu wtedy oczy błyszczały zapałem, twarz cała promieniała uczuciem — jakaż to miłość, jaka potęga to jego uczucie! Czuję się bezsilną wobec jego woli: — kazał wszystko opuścić, wszystko podeptać i przyjść do niego bogatą tylko kochaniem, więc idę. Nic mnie nie zatrzyma, nie mam innej woli, nie mam innej siły — jego tylko rozkaz jest mi prawem jedynem. Za chwilę będę przy nim — na zawsze, już do końca życia. Za chwilę porwie mnie silnym uściskiem, łzy żalu otrze pocałunkiem i powie tym swoim pieszczotliwym głosem: „Jedyna ty moja! wszak wiesz, jak cię kocham, mocno, potężnie; pójdź za mną! Czego się lękasz? Moja miłość wszystko ci zastąpi, moje ramię zawsze cię wesprze — silne i wierne, pójdź."

Jedna taka w życiu minuta może okupić nawet lata ofiar najcięższych — taki bezmiar szczęścia.

Teraz, za każdy dzień smutku dawniejszego, żałoby, chcę dużo słońca, dużo kwiatów i wiosny; walczę, więc czuję, że żyję, kocham, więc pragnę — jestem wreszcie sobą. Odnajduję w sobie jakąś nową siłę — olbrzymią. Takie mocne to, co mnie porywa!

A obowiązek? — Milcz, milcz sumienie na Boga! takie surowe, nieubłagane nasuwasz mi myśli.

Tak mi zimno, chłodno... Czy to powiew wiatru, co szkieletami drzew porusza tam za oknem, zmroził mi w jednej chwili serce do kości.

Ona... moja Hania... tam obok w pokoiku... leży cicho... spokojnie... i śni może o... swojej mateczce... ha! ha! ha! o hańbo, o zgrozo, matka wyrzekła się jedynego dziecka, i w noc ciemną uciekła... z kochankiem — ha! ha! ha! Coś płacze, coś jęczy, co to? Hania mnie woła? Szaleństwo! krew kipi mi warem, — serce płonie, tętna biją w skroniach, jakaś mgła zasłania mi oczy. Co to? co to? Co się ze mną dzieje, gdzie spokój dawniejszy, gdzie równowaga? Wszak raz już powiedziałam, że dość męki, dość tego życia z piętnem fałszu na czole; zabija mnie ten tytuł wiernej i uczciwej żony, troskliwej matki. O ironio, jakąż ty sobie straszną robisz z ludzi igraszkę. — Nie, tak dalej żyć nie można — wolę odrazu opinii rzucić rękawicę. — Kocham, więc zatrzymać mnie nic nie jest w stanie, bo ta miłość to moje prawo, moja potęga, to credo mego życia. Ona mnie żyć nauczyła, bez niej byłam lalką bezduszną. Znów coś jęczy, zawodzi na smutną nutę dziecinnej piosnki. Gdzie ja ją słyszałam? cała w łzach skąpana, drżąca tęsknotą, bolem natchniona, gdzie ja ją słyszałam?

Ach, to matka mi nad kołyską tę piosnkę śpiewała, mateczka moja słodka. Ona jedna kochała mnie trochę, dotąd znałam tylko taką miłość.

Przez Boga żywego ratujcie, myśl mi odbierzcie, coś mi się rwie w piersiach, — to dusza moja smutna tę piosnkę zawodzi.

Więc ja miałam matkę, a ona — dziecina moja? Głuche echo odpowie jej, gdy dziecinne usteczka zawołają: „Mateczko" — lecz mnie w uszach śpiewają inne słodkie wyrazy: „ukochana, tyś mi milsza, tyś mi droższa niż ten świat cały — tyś moim światem; słońce czeka, by tylko dla ciebie słać jasne promienie, kwiaty w kielichach dla ciebie jedynie woń swoją skrywają, perłami rosy obmyją cię co dnia; pod stopy rozłożę ci miękki kobierzec majowy, ptaków orkiestra zanuci cudowna, miłości pieśń promienistą. Pójdź za mną, powiodę cię w krainę czarów i tęczowych snów."

Raz, dwa, trzy... bije dwunasta — północ, za chwil kilka przyjdzie on i upomni się o swój skarb.

Tu mam go czekać, cichutko zejdziemy oboje... wszyscy śpią... nie usłyszy nikt... na dziedzińcu czeka powóz — zakryty; ale zanim po raz ostatni te progi opuszczę, pójdę raz jeszcze dziecinę moją zobaczyć. Matka, nawet występna, ma chwilę, gdy w zastygłem jej sercu zadrga nuta serdeczna...

. . . .

Cicho, bez szelestu, kobieta otwarła drzwi, jak cień przesunęła się przez ciemny korytarz i stanęła u progu dziecinnej sypialni. Pokój tonął w mroku: tylko nocna lampka przed cudownym Matki Bożej obrazem rzucała na posadzkę podłużne, błękitnawe cienie, raz po raz drżącym, migotliwym płomykiem obejmując sprzęty pokoju. W głębi biało zasłane łóżeczko.

Na puchach pościeli, wtulona w miękkie poduszki, we śnie spoczywała śliczna dziecina. Jedwabiste loki tworzyły nad główką złotą koronę. Ciemnych rzęs firanki rzucały cień na ściągły owal twarzyczki, różowe, jak utoczone rączęta, w półkole obejmowały twarzyczkę aniołka. Przez uchylony rąbek koszulki równym oddechem podnosiło się aksamitne ciałko, a rozchylone jak kielich kwiatu usteczka zdawały się szeptać jakieś tajemnicze słowa.

A jednak, pomimo dziecinnego wieku, twarzyczka ta miała w tej chwili wyraz nad wiek poważny: rozsiadło się na niej uczucie bólu czy rozczarowania. Z tym niepojętym wyrazem na ślicznej buzi, dziecina mogła rzeczywiście przykuć uwagę każdego. Był w niej jakby wyrzut całemu światu rzucony, była jakaś niema skarga.

Kobieta zatrzymała się u progu i ręką przycisnęła serce, bo jak ptak spłoszony tłukło się jej w piersi; postała chwilę, lecz nagle, jak gdyby zahypnotyzowana cudnym obrazkiem, wolnym, automatycznym krokiem zbliżyła się do łóżeczka. Na szelest jej kroków zbudziło się dziecko; zrazu przestrach wyjrzał z wielkich chabrowych oczu, lecz wnet rozświeciło je słońce uśmiechu, a cały bezmiar dziecinnej miłości odbił się w okrzyku: — Mateczko, więc jesteś droga ty moja, a ja taki okropny sen dzisiaj miałam — i nagle uklękła na łóżeczku i ruchem pełnym pieszczoty otoczyła jej szyję rączkami.

— Śniło mi się — mówiła drżącym, łagodnym głosikiem — żeś ty poszła odemnie, a noc była taka ciemna, straszna; tatuś płakał, a niania powiedziała, że ty, mateczko, nigdy już do swojej Hani nie wrócisz, bo jej nie kochasz. Wtedy zaczęłam płakać, długo, długo płakałam bez końca i pomyślałam sobie, że pewnie mateczka poszła dla tego, że Hania jest niegrzeczna, niedobra, więc poszłam przed obraz do Bozi i bardzo Ją ładnie prosiłam i długo, żeby mi mateczkę oddała, a ja już za to obiecuję być taką grzeczną, taką dobrą, żeby jej nigdy więcej nie zmartwić, a mateczka żeby znów kochać zaczęła swoją małą Hanię. Och, mateczko, mateczko, ty już nigdy odemnie nie odchodź, tak mi źle bez ciebie, tak smutno, tak nudno. Jutro będziemy się razem bawiły, nigdy nie chciałaś, a zobaczysz jak nam będzie dobrze, wesoło. Ale taka jesteś blada, nic nie mówisz, może cię główka boli? obejmij swoją Hanię i pocałuj ją serdecznie — prosiła pieszczotliwym głosikiem, a na końcu rzęs długich, duże łzy już się perliły. — Tyle było skargi naiwnej w każdem słowie dziecka.

Lecz rysy kobiety były jak gdyby wykute z marmuru, zastygłe w strasznej męce walki, a twarz była kredowo blada.

Ni jęk, ni słowo skargi nie wybiegło z ust jej, bólem zaciśniętych, tylko ręce rozpacznym, beznadziejnym ruchem splotła nad głową. Chwilę tak stała jak posąg bólu — nieruchoma, aż nagle porwał ją płacz wielki, potężny — nieludzki, szarpały nią kurcze łkania i bezsilną rzuciły na kolana przy małem łóżku. A dziecko z przedziwną intuicyą miłości, nie mówiąc ni słowa, mocnym uściskiem oplotło jej szyję i zmęczoną, rozszlochaną głowę oparło na swojem dziecinnem ramieniu. I tak złączone uściskiem mocnej miłości, zrozumiały się wzajem — dziecko i kobieta i zmięszały się wespół łzy ich serdeczne. Godziny płynęły — do okien doszedł przytłumiony turkot powozu; zatrzymał się chwil kilka, jakby czekał na kogoś.

Kobieta drgnęła — spazm bólu wykrzywił jej rysy, lecz nie porwała się z klęczek, tylko mocniejszym jeszcze uściskiem objęła skarb swój jedyny.

Powóz stał jeszcze, snać czekał, wreszcie po długiej chwili oddalił się powoli, a w tem oddaleniu była cała tragedya — była tam prośba, zaklęcia, pieszczota, złorzeczenia wreszcie. Z domu odpowiedziała mu cisza, więc echo niosło coraz dalszy tętent, coraz słabszy, który martwiał powoli w powietrzu, aż skonał.

W pokoju milkło łkanie; mgła błękitna spowijała dwie przytulone do siebie postacie, a tylko ze złotych ram obrazu uśmiechała się mroczna twarz Jasnogórskiej Pani.

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza.